Nr. 30. Lwów, Niedziela dnia 25. Lipca 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE:
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 12 złr. półrocznie 6 złr. kwartalnie 3 złr.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Wydawcy: **A. J. O. ROGOSZ i F. H. RICHTER.**
Główny skład w księgarni F. H. RICHTERA we Lwowie.
Biuro redakcji przy ulicy Halickiej l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni
J. K. Żupańskiego w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 8 tal. półrocznie 4 tal. kwartalnie 2 tal.
NA PROWINCJI:
Rocznie 9 tal. 10 sgr. półrocznie 4 tal. 20 srg. kwartalnie 2 tal. 10 sg

LUŻNE UWAGI.

XXX.

O ARYSTOKRACJI WE WSCHODNIEJ GALICJI.

II. Uznając różność stanów, i wiedząc że chęć zniwelowania społeczeństwa jest bezsensem, gdyż to się nie udało nawet w tak demokratycznej części świata jak Ameryka północna, gdzie arystokracja pieniężna główną rolę odgrywa, nie bierzemy za złe naszej arystokracji, że żyje zamknięta w swojem kole, że wyjeżdża do wód zagranicznych, zamiast krajowych, że trzyma ekwipaże, ugalonowanych lokajów, i chętniej mówi po francusku jak polsku. Kto pragnie wolności dla siebie, niech jej nie odbiera drugiemu. Śmieszny przeto wydał nam się zarzut, uczyniony przez pewne pismo perjodyczne, jakiemuś panu, że tenże nie umie poprawnie pisać po polsku. Grzech to stosunkowo najmniejszy, prawie żaden. Są Czesi, którzy od dziecka mówią po niemiecku, a mimo to są dzielnymi Czechami; są Węgrzy, którzy najchętniej mówią i piszą po niemiecku, a mimo to nie zapominają, że są Węgrami; są nareszcie Polacy w W. ks. Poznańskiem, którzy zaledwie w ostatnich latach zaczęli uczyć się po polsku, a mimo to gorliwiej pracują dla kraju, aniżeli bardzo wielu owych patrjotów, którzy blagę uważając za czyn szlachetny, za kilka dni przesiedzianych w kozie domagają się od narodu aureoli męczeństwa!... Niech więc arystokracja żyje z kim chce, bo każdy szuka towarzystwa odpowiadającego jego pojęciom i wymaganiom, niech robi co się jej podoba, i mówi językiem, którym najswobodniej włada ale równocześnie niech pracuje dla dobra kraju, jeżeli chce by naród uważał ją za stan wybrany, któremu należą się nad nim rządy.

Gdyby arystokracja nasza pojmowała swoje stanowisko, jej rola mogłaby długo jeszcze być bardzo świetną. Stan włościański u nas jeszcze ciemny, a średni dopiero się wyrabia. Ona natomiast mając w ręku majątek, który w wysokim stopniu ułatwia rozwinięcie się umysłowe, mogłaby spokojnie stać na czele, tem łatwiej, że cały nasz ogół, przejęty kierunkami arystokratycznemi, co z krwią dziedziczy, stokroć chętniej powierza nad sobą władzę temu, który ma tradycję i siłę, aniżeli temu, który dobija się uznania li rozumem i zasługą. Nie każdy w gronie naszej arystokracji urodził się tak potężnym jak Mirabeau, ale każdy powinien mieć miłość dla kraju, który go wydał i wychował.

Słowa nasze są atoli grochem rzucanym o ścianę. W świecie panuje siła rzeczy, która obala jedno a buduje drugie. Trudno z nią walczyć, trudniej jej się oprzeć, i dla tego wcale się nie dziwimy, że arystokracja w Galicji wschodniej znalazła się na tak fatalnej pochyłości w ostatnim lat dziesiątku. Po tej pochyłości ona poleci w dół, póki nie zginie. Lecz aby miejsce nie zostało nagle opróżnione, o tem powinien myśleć stan średni.

Po miastach mamy już liczną inteligencję, która niech pamięta, że kolej na nią przychodzi. Podczas wyborów politycznych i autonomicznych nie oglądajcie się na panów, którzy nic robić nie będą, a ilekroć tworzycie Towarzystwa korzystne dla ogółu, nie wybierajcie więcej na prezesów książąt i hrabiów, bo figurantów nam już nie potrzeba. Dobrzy są książęta i hrabiowie, jeżeli swego stanowiska i wpływów używają dla dobra powszechnego ale rozkładowym żywiołem stają się zawsze, ilekroć myślą o sobie tylko. A arystokracja we wschodniej Galicji czy prócz siebie znajdzie więcej kogo? Tem pomijaniem na każdym kroku, albo ją zbudzimy z odrętwienia samolubnego, czego szczerze pragniemy, albo zmusimy do zupełnego usunięcia się z widowni— co dla niej będzie chlebem łaskawym.

Stan średni wyrósł już u nas z lat pierwszej młodości; pełnoletność zbliża się szybkim krokiem, a więc rozum nakazuje mu myśleć o przyszłości. Niech więc uwierzy w swe siły i zastąpi tych, którzy na zajętych stanowiskach nie umieją się utrzymać.

Po ukazaniu się zeszłego numeru doleciały nas bardzo przychylne głosy, pochodzące właśnie od członków rodzin arystokratycznych. Nie wątpiliśmy ani na chwilę, że słuszności nie odmówią nam między nimi ci wszyscy, którzy trzeźwo zapatrują się na nasze położenie. Nie mniej jesteśmy pewni, że tylko ci oburzą się na nasze słowa, którzy bądź rozbrat wzięli ze zdrowym rozsądkiem, bądź pozują na panów, nie mając prócz pretensji żadnych praw do tego. Pierwsi są dla nas umarli — o drugich nie dbamy.

BYLE WYŻEJ!

Powieść

MICHAŁA BAŁUCKIEGO.

(Dokończenie.)

X.

Wstał więc tego dnia raniej, ubrał się pełen dobrej otuchy i humoru i już miał wychodzić do doktora, gdy przyniesiono mu list przysłany miejską pocztą. Pismo było mu już znajome. Było to to samo pismo, którem pierwej ostrzegał go anonym. Jan nie wiele wartości przywiązywał teraz do podobnych ostrzeżeń; przypisywał je skrytej nienawiści czyjejś do żony. Obojętnie więc rozdarł kopertę i spojrzał na kartkę.

Na kartce było napisane:

„Nierozsądny, dajesz się oszukiwać haniebnie. Przekonasz się o tem, skoro zasięgniesz bliższych szczegółów względem owej pani Raap, którą żona twoja tak pilnie odwiedza. Osoba taka nie istnieje. Panią Raap jest kochanek twej żony“.

Jakkolwiek Jan z uprzedzeniem czytał tę kartkę; jednak wiadomość w niej zawarta zachwiała jego wiarę w żonę. Ostrzeżenie było zbyt wyraźne, aby można było powątpiewać w jego prawdziwość. Trzeba jednak było sprawdzić. Chwycił niespokojny za kapelusz i wybiegł na miasto.

Wsiadł do najbliższej dorożki.

— Gdzie jedziemy? — spytał dorożkarz.

— Na Mariahilf. Nr. 16. Prędko.

Dorożka popędziła z turkotem po bruku.

Za kilkanaście minut stanęli u celu. Jan wyskoczył szybko z dorożki i pobiegł prosto na górę, na trzecie piętro. Biegł tak spiesznie, że tchu mu brakło. Musiał się chwilkę zatrzymać na końcu schodów, zaczerpnąć trochę powietrza. Wśród tego krótkiego przestanku wzrok jego padł na bilet przybity na drugich drzwiach od schodów, na którym stało wypisane dużemi literami nazwisko Anny Raap.

Janowi serce zabiło mocno. Za temi drzwiami miała się rozwiązać straszna wątpliwość jego. Nogi się pod nim zatrzęsły, brakło mu odwagi i siły postąpić naprzód. Wreszcie zdobył się na to; przystąpił do drzwi i zapukał lekko. Nikt nie odpowiadał. Milczenie to było złowrogą zapowiedzią. Jan powtórzył pukanie. Tym razem silniej nieco. Znowu nikt nie odpowiadał. Wątpliwość zaczęła ustępować; z głuchego milczenia wyłaniała się potworna prawda i szyderczo urągała z nieszczęśliwego. Chora osoba nie mogła przecież być nieobecną w domu, umrzeć tak prędko także nie mogła. Doniesienie więc anonyma było oparte na dobrych wiadomościach. Więc tutaj schodziła się jego żona, i on, ktoś kogo nie znał, kto mu wykradał jego szczęście małżeńskie. Mógł teraz już przypuszczać, że był okradany; kradzież była tem więcej przerażająca, że złodziej był niewiadomy. Janowi przypomniały się te chwile, gdy z pieskiem na ręku oczekiwał w powozie po godzinie na swoją żonę nie domyślając się niczego; a ona tymczasem z niewiadomym mu człowiekiem śmiała się z jego łatwowierności. To wydawało mu się prawie niepodobnem, aby kobieta mogła tyle mieć przebiegłości. On, który całe życie wojował przebiegłością, popstępem czuł się małym w porównaniu z tak szatańską przebiegłością, tak wyrafinowaną zbrodnią. Chciał jeszcze wątpić w to wszystko, chciał żeby mu kto zaprzeczył i zeszedł ze schodów do stróża. Silił się na twarz spokojną i dobywając z trudnością głosu spytał:

— Czy tu mieszka pani Raap, wdowa po urzędniku?

Stróż spojrzał z podełba na niego i mruknął niechętnie:

— Tu.

— Na trzeciem piętrze?

— Tak.

— I jest chorą?

— Podobno.

— A jednak nie ma jej w domu.

— Cóż mnie to obchodzi.

— Obchodzić cię powinno. Jesteś odpowiedzialny za to, co się w domu dzieje. Tej pani poszukuje policja, rozumiesz? Czy jest meldowaną?

Stróż zmieszał się tem pytaniem i spojrzał z trwogą na surową twarz pytającego.

— Nie meldowaliśmy, bo ta pani niedawno się wprowadziła.

— Kłamiesz. Mieszka tu od dwóch miesięcy. Ale nie pani Raap.

— Jeżeli pan wiesz wszystko, po co mnie się pan pyta? — mruknął opryskliwie stróż.

— Jak się nazywał ten pan, który zajmował to mieszkanie? — pytał coraz groźniej i natarczywiej Jan.

— Nie wiem. Nie chciał powiedzieć swego nazwiska. Mówił tylko że tu potrzebuje widywać się z jedną damą, zapłacił mi za to, abym milczał. No i tyle. Nie myślałem, że z tego jaka bieda wyniknie.

Jan zanotował nazwisko stróża i wszedł napowrót do dorożki. Kazał się zawieść do domu. Chciał co prędzej stanąć przed żoną. Sam jeszcze nie wiedział, co zrobi, pilno mu jednak było zobaczyć kobietę, która była zdolna do podobnego czynu.

Dorożka pędziła szybko; on jednak naglił wciąż dorożkarza do pośpiechu. Był nieprzytomny, odurzony tem wszystkiem, co się dowiedział. W głowie czuł ogień palący, oburzenie szarpało mu nerwy, w oczach mu się ćmiło, że nic prawie nie widział przed sobą.

Dojechał wreszcie do domu, rzucił dorożkarzowi zapłatę i poszedł na górę. Parę razy potknął się na schodach, musiał się chwycić poręczy, aby nie spaść, tak mu się dwoiło, tak tańcowało wszystko w oczach. Drapał się z wysileniem na górę, chciał co prędzej zobaczyć żonę i tę wściekłość, gniew i oburzenie, co w nim wrzały rzucić jej jak piorun na głowę. Zdawało mu się, że ma tyle w sobie okropnej siły, że słowem, spojrzeniem samem będzie ją mógł zabić. Wszedł na piętro, zastał drzwi od pokoju żony otwarte, służący stał zakłopotany.

— Gdzie pani? — spytał.

— Nie wiem.

— Jakto? nie wiesz? — Wrzasnął okropnym głosem Jan.

— Gdy przyszedłem z kawą, pani już nie było. Garderobianny jej nie ma także. Stróż mówił, że widział je w nocy wsiadające do powozu.

— Uciekła — zaryczał okropnym głosem Jan, i chwycił się w rozpaczy i wściekłości za włosy. Wnet się zerwał i zawołał szybko:

— Biegnij na policję, daj znać, niech szukają, niech łapią. Zapłacę, co chcą. Czekaj, daj papier, napiszę sam do dyrektora policji.

Służący przyniósł papier i pióro i położył przed nim. Jan wziął pióro i począł pisać; napisał kilka słów; ale ich nie widział. Mgła zasłoniła mu wzrok. Obejrzał się do koła z przerażeniem, wszędzie ta sama ciemność; nawet służącego, który stał tuż obok niego, z trudnością tylko mógł dojrzeć.

— Józefie, co to jest? co tak ciemno? — spytał macając rękami koło siebie.

— Widno, panie, jasny dzień.

— Jasny dzień, a ja nie widzę — zawołał Jan głosem, który nie da się opisać — Ratujcie, po doktora! — i upadł z łoskotem na ziemię.

Zaniesiono chorego, nieprzytomnego na łóżko; przybyło kilku doktorów i poczęli go badać. Organizm cały ucierpiał w skutek silnego wstrząśnienia; trzeba było działać uspokajającemi środkami i wzmocnić chorego, a równocześnie trzeba było postawić pijawki koło oczów, gdyż po zbadaniu pokazało się silne zapalenie siatkówki i wynaczynienie krwi, co groziło zupełną utratą wzroku. Chory poddał się z rezygnacją leczeniu, gotów był na najboleśniejsze operacje, byle tylko odzyskał wzrok i zdrowie. Chciał żyć, żyć koniecznie, choćby dla tego, aby się mógł pomścić na żonie. Pozbawiwszy się dobrowolnie środka, którym mógł więzić ją przy sobie, chciał teraz innemi sposobami, jakie mu podawało prawo, zmusić ją do powrotu do domu. W tym celu robił starania w policji przez swego pełnomocnika, nie żałował kosztów, byle tylko mógł dostać przeniewierczą żonę w swoje ręce. Umiałby już zatrzymać ją przy sobie i dręczyć. Zemsta jego płodziła najrozmaitsze, najpotworniejsze pomysły dręczenia moralnemi torturami swojej ofiary.

Ale wszelkie usiłowania policji w odszukaniu zbiegów były nadaremne. Stracono wszelki ślad ich ucieczki. Jan naprożno wyczekiwał wiadomości o ich pochwyceniu. Po paru tygodniach stan zdrowia jego nieco się polepszył; ale na wzrok nie polepszało mu się wcale. Sprowadzał najzdolniejszych okulistów, robiono wszystko, co sztuka wynalazła w tym względzie; ale naprożno. Łudzono chorego nadzieją, bo widziano, że pewność utraty wzroku zabiła by go; obiecywano mu polepszenie; ale Jan sam widział, że o polepszeniu mowy nie ma.

Okropny był stan chorego. Spętany brakiem wzroku leżał w ciemnym pokoju sam jeden, pielęgnowany przez najemnych ludzi i wił się po łóżku bezsenny, zrospaczony a niezaspokojona zemsta podwajała jego cierpienia. Nie miał nikogo z życzliwych koło siebie, był sam. Sam wśród ciemności okropnej, która go otaczała, bez nadziei wydobycia się z tego położenia. Koło niego wrzało gwarne życie miasta, dolatywały go śmiechy i wesołość, a on po za granicami tego życia pokutował jak zły duch wśród mroków nocy. Nieraz w takich chwilach przychodziła mu na myśl rodzina jego: ojciec, matka, brat, siostra, budziło się w nim pragnienie, żeby choć jedną z tych istot mógł mieć przy sobie, żeby samotność nie była mu tak straszną, bezdenną, nieskończoną; ale nie śmiał odezwać się do tej rodziny, z którą potargał w tak okropny sposób wszelkie węzły święte.

Raz trapiony tą pustką, która go otaczała, zdecydował się posłac po siostrę i prosić ją kazał by przyszła do niego. Ale służący powrócił z odpowiedzią, że dama o którą się pytał wyjechała przed miesiącem nie wiadomo gdzie. Stracił więc i tę ostatnią nadzieję. Położenie jego z każdym dniem stawało się straszniejsze. Tracił cierpliwość i rozpacz go ogarniała.

Jednego dnia, gdy doktór przyszedł podług zwyczaju, zbadać stan jego, Jan zapytał go szorstko i gwałtownie.

— Powiedz mi doktorze otwarcie, czy jest jaka nadzieja odzyskania wzroku? Nie łudźcie mnie próżno; nie jestem dzieckiem.

— Robię wszystko, co można — rzekł doktór.

— Mnie nie idzie o to; ale czy to zda się na co?

— Dzieją się czasem rzeczy, których my przewiedzić nie możemy.

— Ale to, co przewidujesz, doktorze, nie wróży mi nic dobrego?

— Trzeba cierpliwości.

— Jak długo?

— To może potrwać miesiąc, dwa, może pół roku.

— A potem będę zdrów?

— Tego na pewno mówić nie mogę; ale być może.

— Dosyć, doktorze. Zrozumiałem cię — rzekł chory dziwnym głosem.

Minęło znowu kilka tygodni. Chory sam nieraz badał stan swego zdrowia, kazał uchylać story, co zaciemniały pokój i próbował wzroku. Próby te robiły twarz jego coraz więcej ponurą i dziką. Stał się milczącym, jak grób; a w tym grobie działsię już rozkład moralny i robactwo zwątpienia gryzło mu duszę. Lektor najęty czytywał mu książki, odpisywał na listy i załatwiał niektóre jego polecenia. Raz przyszła dla chorego paczka z księgarni. Lektor odczytywał tytuły świeżo wydanych dzieł, które księgarz przysłał do wyboru. Między innemi była Toksologja. wykład o działaniu trucizn. Lektor chciał to odesłać księgarzowi.

— Zostaw pan — rzekł chory — będzie mi to potrzebne do jednego procesu, Przeczytasz mi pan dziś wieczorem tę książkę.

Wieczorem rozpoczęło się czytanie. Lektor spokojnym. jednostajnym głosem czytał opisy trucizn, o sposobie ich przyprawiania, o ich działaniu na organizm i objawach różnych. Jan słuchał wyciągnięty na łóżku, z rękami założonemi na głowę, blady i nieruchomy jak trup. Gdy lektor przeczytał całą broszurkę obejmującą nie więcej jak siedmdziesiąt stronnic druku, Jan chwilkę milczał potem rzekł:

— Przeczytaj mi pan jeszcze raz o działaniu kwasu sinowodowego... to mi właśnie potrzebne.

Lektor przeczytał ten ustęp powoli, dobitnie.

— Dziękuję panu — rzekł sucho Jan.

— Czy będę panu dziś jeszcze potrzebnym? — spytał po chwili lektor.

— Nie, nic mi już nie potrzeba — odrzekł chory.

W parę dni potem była wiadomość w kronikarskich zapiskach dzienników, że „Jan Dylski, adwokat z Galicji, skończył nagle życie, otruwszy się kwasem sinowodowym. Przyczyną samobójstwa miała być melancholja, w którą popadł z powodu utraty wzroku".

Dla osób, które czytają powieści główmie dla ostatnich stronnic i aby wiedzieć co się stało z tą lub ową osobą powieści, musimy jeszcze dodać, że Helena pomimo śmierci męża nie wyszła za doktora. Sakrament bowiem małżeństwa nie dawał doktorowi dostatecznej gwarancji, czy ta, która dwóm mężom umiała złamać zaprzysiężoną wiarę małżeńską, nie zrobi tego także trzeciemu; obrączka ślubna nie wydawała mu się dość silną dla przykucia żony do siebie. Żył więc z nią bez dopełnienia obrzędów kościelnych i była mu wierniejszą dłużej, niż ślubnym swoim małżonkom, dłużej nawet, niż sobie doktór tego życzył, bo gdy się postarzała i zrujnowała majątek na podróże i wesołe życie, była mu ciężarem i zawadą. Jednego dnia ulotnił się bez wieści, a Helena, nie mogąc już ani wdziękami, bo przekwitły, ani majątkiem. bo stopniał do skromnych fundusików, pozyskać sobie nowego towarzysza życia, zwróciła swe afekta do cierpliwego oblubieńca wszystkich opuszczonych kobiet i została dewotką.

Piękna Mary złotowłosa kometa z Hitzing po kilku latach awanturniczego życia kupiła sobie męża. Był to jakiś wysłużony wojskowy, ciężki i rubaszny chłop; mimo to Marynia przeniosła go nad roje eleganckich zalotników, którzy jak błyszczące motyle kręcili się koło jej wdzięków. Przeniosła go bo jej dał to, czego żaden z tamtych dać nie mógł i nie chciał, to jest nazwisko swoje, tytuł mężatki i trochę serca. Uczucia rodzinne upomniały się o swoje prawa. Dziewczyna uciekła z wyżyn, na które się wdarła kosztem swojej uczciwej sławy i schowała się w cichej ustroni domowej. Mówią nawet, że była bardzo dobrą żoną.

Co się zaś tyczy Józefa, ten żyje dotąd zamożnie i szczęśliwie otoczony szacunkiem ludzi i ich życzliwością. Został radcą i krząta się gorliwie koło własnych interesów i publicznych. Stowarzyszenia przez niego założone nie wszystkie się utrzymały z powodu swarów, lenistwa i podejrzliwości członków, ale parę z nich rozwija się nadzwyczaj dobrze a widok ten sprawia mu nie małą pociechę. W domowych stosunkach jest równie szczęśliwy i zadowolniony. Troje dzieci podrasta na jego i Tekluni pociechę. Ojciec myśli obydwóch synów kształcić na rzemieślników. Widzieliśmy te dzieci na plantacjach w oktawę Bożego ciała. Chłopczyki szły przodem, a za niemi córeczka Józefa Andzia, śliczne dziewczątko z krętemi jasnemi włoskami prowadziła dziadka za rękę. Stary chciał zobaczyć koniecznie konika zwierzynieckiego, jak uwijał się między tłumem ludzi. Pchał się naprzód, spinał na palcach, wyciągał szyję, byle dojrzeć choć kołpak turecki konika. Cieszył się jak dziecko tym widokiem. Może instynktowo przeczuwał, że ostatni raz widzi tę religijno-narodową pamiątkę. Następnego roku już jej nie zobaczył. Umarł, nie odzyskawszy już zupełnej przytomności.

Stara Dylska żyje jeszcze, starość nie pozwala jej się zajmować niczem; chodzi tylko po kościołach i modli się za szczęście syna, a wieczorami grywa z Walentym Kopciem, który także jest u Józefa na łaskawym chlebie, w marjasza lub w pałki. Czasami starzy sprzeczają się, które lepsze czy Józef, czy Teklunia, każde swoje chwali; ale ostatecznie zgadzają się, że oboje anielskiej dobroci i modlą się za nich i błogosławią ich.

Koniec.

Staszkówce 1874.

STUDJA O SZTUCE W POLSCE

Skreślił

JÓZEF ROGOSZ.

(Ciąg dalszy.)

Wystawa obrazów we Lwowie w r. 1875.

II.

Wojciech Gerson.

Między malarzami, mieszkającymi w Warszawie, miejsce najwybitniejsze zajmuje Wojciech Gerson. Galicja zna go zaledwie od lat kilku. Jeźli nas pamięć nie myli, na pierwszej wystawie lwowskiej pojawiły się jego *Madonna* i rodzajowa kompozycja przedstawiająca *Siewacza*, później oglądaliśmy *Łokietka*, roku zeszłego *Jagiełłę i Kiejstuta*, a teraz przysłał *Kazimierza W. nadającego żydom prawa w Polsce*. Z krótkiego tego przeglądu widzimy, że Gerson poświęcił się głównie malarstwu historycznemu.

Rozpatrzywszy się atoli uważnie w jego talencie, trudno nie wypowiedzieć przekonania, że ten rodzaj malarstwa jest mu najmniej właściwym. Gerson rysuje bardzo poprawnie i maluje pracowicie, ale na tem i koniec. Historyczne malarstwo domaga się potężnej charakterystyki pojedyńczych osób, kolorytu pełnego życia, dramatycznego układu, *słowem siły we wszystkich kierunkach*, a tych zalet nie posiada talent Gersona. Jeźli na czem głównie mu zbywa, to na sile. W nim przeważa pierwiastek liryczny, pełen miękości uczucia, skutkiem czego każdy jego obraz robi wrażenie sielanki. Oświetlenie zawsze prawie idealne, barwy przysłonięte mgłą także idealną, a ugrupowanie niepewne, jakby artysta lękał się każdego ruchu męskiego, by nie popaść w brutalność. Głowy pojedyńczych osób powtarzają się u niego zbyt często, z okiem wyrazistem prawie nigdzie nie można się spotkać, w układzie miasto naturalności najczęściej poza, a w ruchach pozornie najgwałtowniejszych nie czuć energji. Każdy też jego obraz historyczny jest mozolnie wypracowany, ala w żadnym nie widać śladów twórczego ducha. Jego *Łokietek*, to nie król przez los ścigany, ale wieśniak śpiący; *Kiejstut* to nie wódz waleczny, ale starzec uczciwy; *Jagiełło* nie monarcha zuchwały, który dla dobra swego państwa nie cofa się nawet przed zbrodnią, ale żyd chytry i rozgniewany, który u boku nie powinien mieć oręża; nakoniec jego *Kazimierz W.* to nie prawodawca i opiekun uciśnionych, ale pierwszy lepszy pan wyjeżdżający obojętnie na łowy.

Gerson miałby stokroć większe powodzenie, gdyby miasto pasować się z trudnościami malarstwa historycznego, oddał się cały kompozycjom rodzajowym. Szczególniej sceny miłośne i szczęścia domowego, w których przeważa pierwiastek tkliwy a spokojny, zgodziłyby się najlepiej z jego kierunkiem romantycznym. W takich kompozycjach szlachetny jego rysunek, podtrzymany oświetleniem poetycznem, które w historycznym dramacie nie jest właściwem, wystąpiłby w całej piękności, a koloryt mglisty nierównie by mniej raził. Prócz tego osoby z zacisza domowego stokroć łatwiej charakteryzować i grupować, aniżeli te, które miotane gwałtownemi namiętnościami, lub z wielką ideą na czole odgrywają rolę wybitną na widowni dziejowej.

Jeżeli p. Gerson poświęcił się wyłącznie malarstwu historycznemu, odpowiedzialność za to cięży ponoś na niepowołanych jego krytykach. Prasa warszawska wynosi pod niebiosa każde nowe dzieło tego artysty, a nawet p. Struve, któremu znajomości sztuki nikt nie odmówi, pisząc w *Kłosach* o *Kazimierzu W. nadającym prawa żydom*, uważa to malowidło za dzieło historyczne i jako takie rozbiera, a chociaż trafnie wytyka kilka stron ujemnych, nie chce jednak wypowiedzieć całego przekonania i chwali rzeczy, które na pochwałę bynajmniej nie zasługują. Cóż dopiero mówić o niektórych krytykach lwowskich! P. Bronisław Zawadzki napisał niedawno w *Ruchu Literackim*, że *Kazimierz W.* jest dziełem pra-

*

wdziwie historycznem, że koloryt jest w niem „soczysty“ (sic) że charakterystyka osób działających nie pozostawia nic do życzenia, i że ugrupowanie jest znakomite, lepsze, aniżeli na obrazach Matejki. Przykro nam bardzo że nie mogąc przyklasnąć szanownemu koledze, musimy wypowiedzieć z całą otwartością, że w sądzie swoim omylił się od początku do końca.

I to dla czego.

Nadanie praw w Polsce tułającym się żydom, było faktem doniosłości dziejowej, faktem głośno świadczącym, że już za Kazimierza W. w Polsce zapanowała cywilizacja, oparta na zasadach dobrze pojętego chrystjanizmu. Aby chwilę taką wiecznie uprzytomnić, potrzeba wielkiej twórczości. Tymczasem co uczynił p. Gerson? Najpierw dał nam obraz o małych rozmiarach, w którym widzimy figury stosunkowo drobne — i oto błąd pierwszy. Widocznie niektórzy nasi artyści zapominają, że rozmiary obrazu powinny iść zawsze w parze z rozmiarami pomysłu. Im większa myśl, tem większe płótno — i odwrotnie Figury drobne mogą się pojawiać tylko w scenach rodzajowych. Estetyka jest pod tym względem bardzo wymagającą, i tylko wtedy robi ustępstwa, jeżeli wszystko inne znakomicie wykończone pozwoli zapomnieć o niestosowności rozmiarów. Tymczasem na obrazie Gersona i ta reszta pozostawia nie mało do życzenia. Bo i jakżeż wykonał swój pomysł? Oto na tarasie zamkowej, stoi postać w stroju szkarłatnym, pretensjonalnie podparta, mająca przedstawiać Kazimierza W. Król wskazując jedną ręką na grupę żydów przed zamkiem, pół twarzą obrócił się do jakiegoś dygnitarza, który trzyma zwój pargaminu. Oblicze wielkiego monarchy zupełnie obojętne, a że przed nim widzimy pazia z sokołem, żydzi zaś wyglądają głodem wycieńczeni, nie dziw przeto, iż nam na myśl przychodzi, że król wybierając się na łowy, i zaskoczony z nienacka przez żebraków, zamierza dać im jałmużnę. A więc nie charakterystyka osób i działanie, ale zwój pargaminu opatrzony pieczęcią woskową, ten jeden zwój tylko każe nam się domyślać, że tu idzie nie o jałmużnę, ale o nadanie praw żydom prześladowanym. A gdybyśmy się tego nie chcieli domyśleć, cóż wtedy? Wszakże dygnitarz z pargaminem, mógł w tej chwili inne otrzymać rozkazy, nie tyczące się wcale tych postaci wynędzniałych, zwłaszcza że żydzi, gdy im już pisemnie prawa przyznano, nie mogli wyglądać tak rozpaczliwie. Oni wtedy nie prosili, ale dziękowali; nie jęczeli z boleści ale płakali z radości. Jeżeli jeszcze dodamy, że zwój przypadkowo tylko można odkryć, to wtedy chyba już każdy nam przyzna, że artysta bardzo niejasno wypowiedział myśl przewodnią.

Ale idźmy dalej.

Zgromadzeni żydzi, to nie poważni reprezentanci nieszczęśliwego narodu, którzy jako tacy przyszli do króla z prośbą o opiekę nad wszystkimi swymi współwyznawcami, to zwykła rodzina jakiegoś plemienia wschodniego, najprawdopodobniej cygańska — artysta bowiem chcąc żydów wyidealizować, zgubił charakterystyczne linje ich rysów — rodzina, która zabłąkawszy się w lesie, trafiła przypadkiem na orszak królewski, a korzystając z nadarzonej sposobności, przez usta najwymowniejszego prosi o jałmużnę. Jeżeli jałmużna bezustannie nasuwa nam się na myśl, pochodzi to także ztąd, że jakiś chłopaczek w kurtce zielonej, należący do orszaku królewskiego, podaje kawałek chleba dziecku żydowskiemu. Ale może artysta chciał przez to powiedzieć że Kazimierz W. pozwalając żydom osiedlać się w Polsce, temsamem pozwolił im bez pracy karmić się chlebem naszym...

Niech nam teraz kto powie, co chce ten żołnierz obok żydów, a co ten wieśniak z rękoma w dybach, którego w głębi widzimy? Miałożby to znaczyć, że wojsko będzie odtąd broniło nie tylko Polaków ale i żydów, i że Kazimierz W. opiekował się tak dobrze żydami jak wieśniakami, których uwalniał z dybów, ilekroć im takowe niesprawiedliwie włożono? A może chłopa ukarano dybami za napastowanie żydów wędrujących? Ależ w tym razie wieśniaków powinnoby chyba być więcej, jeden bowiem, do tego młody i potulnie wyglądający, nie byłby się targnął na kilka osób, między któremi znajdował się jeden żyd, mający ramiona dość potężne, aby w razie potrzeby oprzeć się nawet dwom napastnikom.

Jak widzimy, kompozycja jest zagmatwana, niezrozumiała, pełna tajemnic, które mógłby wyjaśnić tylko sam artysta.

Co do wykonania pojedyńczych figur, to i pod tym względem p. Gerson nie sprostał podjętemu zadaniu. Król jest nijaki, żyd proszący przypomina artystę patetycznie deklamującego na scenie, żołnierze nie mają żadnego wyrazu, słowem nie widzimy ani jednej postaci, odpowiadającej nastrojem ducha ważności chwili. Najlepiej wypadły twarzyczki biednych dzieci, od których nie wymagamy, by zbyt wiele myślały, i to niech posłuży na poparcie naszego twierdzenia, że p. Gerson może pomyślnie malować tylko sceny ciche i serdeczne, w których brak gwałtownych namiętności i prawdziwie męskiej siły.

Obok tych niedostatków obraz ma niepospolite zalety pod względem rysunku. Wszędzie on poprawny, a chłopczyk w zielonej kurteczce, który chleb podaje, mimo nader trudnej pozy, jest figurą prześlicznie wyrysowaną. W łowczym który niepotrzebnie psa strzeże, gdyż poczciwy bryś przypatruje się żydom z podziwienia godną obojętnością, i konwencjonalną powagą, artysta chciał się popisać wzorowem malowaniem ciała ludzkiego. Potężne ramiona wyrysował też dobrze, ale gdy rysunek poparł mglistym kolorytem — zrobiły się ręce drewniane. Takie ciało widywaliśmy już nieraz na obrazach p. Gersona Ściągom brak u niego siły.

Zebrawszy wszystkie nasze zarzuty, musimy zakończyć twierdzeniem, że najnowszy utwor p. Gersona w żaden sposób nie da się zaliczyć do dzieł historycznych. Jest to praca bez głębszego znaczenia, wykonana po akademicku, konwencjonalnie, a gdybyśmy zamiast napisu artysty, umieścili nasz, np. taki: „Głodni cyganie proszą o jałmużnę magnata, wyjeżdżającego na łowy“ — znaczenie kompozycji nie tylko by na tem nie straciło, lecz zdaniem naszem znacznieby zyskało.

(C. d. n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carycy, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

II.

Wielka księżna, po wystąpieniu męża które jej groziło najstraszniejszemi następstwami, została nagle opuszczoną przez wszystkich; dworacy, co jej najwięcej pochlebiali, pierwsi się od niej odsunęli. Dopiero teraz zrozumiała swoją nieostrożność, lecz nie tracąc trzeźwości umysłu i usiłując użyć znowu wymowy, która jej tyle pomogła w pierwszym wypadku przed carową, upraszała o pozwolenie rozmówienia się z nią; wszakże Elżbieta stanowczo jej tego odmówiła. Wtedy udała się do posła francuskiego L'Hopitala, którego wysokie stanowisko i osobiste przymioty wyrobiły mu u dworu wielkie wpływy, prosząc by zajął się jej losem i przedstawił carowej, jak niesłusznie została dotknięta niełaską, a gdyby istotnie czemkolwiek zawiniła przed nią, to czyż nie wystarcza serdeczny żal, aby wyjednać u niej przebaczenie? Poseł użył całej wymowy, wszystkich pociech oraz rady, które mu rozsądek podyktował, lecz zastanawiając się nad niestosownością swego położenia jako obrońca w. księżnej, musiał jej odmówić swego pośrednictwa. Katarzyna pozostawała jeszcze pewien czas w rozpaczliwem położeniu, w którem nie tylko miała do zniesienia nienawiść w. księcia i pogardę carowej, lecz sami dworacy, co wczoraj pełzali u jej nóg, nagle opuścili ją wszyscy; nadewszystko zaś bolała ją myśl utracenia na zawsze Poniatowskiego, który nie mniej od niej cierpiał.

Dwór Warszawski wzywał go z powrotem lecz on nie mógł zdecydować się na porzucenie Petersburga. Udając chorego, przepędzał całe dnie w domu, a o późnej godzinie udawał się potajemnie do w. księżnej. Liczni atoli stróże śledzili każdy ich ruch — miejsce schadzek odkrytem zostało i natychmiast zawiadomiono o tem carowę. Na wiosnę stało się to jeszcze trudniejszem, gdyż w. księżna musiała wyjeżdżać razem z mężem do Oranjenbaumu, a Poniatowskiemu bez wybiegów niepodobieństwem było dostać się do zamku. Pewnego razu, schowawszy swego Białego Orła, przechodził po cienistej alei, którą mu naznaczyła Katarzyna. Niefortunny los i tutaj go prześladował; potrzebaż, by w tym samym czasie, niespodzianie, zapewne bez wszelkiej myśli, znalazł się w tej samej alei dworski lokaj, który natychmiast poznał Poniatowskiego, jakkolwiek starannie obwiniętego płaszczem, i pobiegł o tem uwiadomić w. księcia. Piotr pragnąc zhańbić Poniatowskiego, kazał zawołać oficera służbowego a opisawszy mu figurę i ubranie Polaka, kazał, nie zważając na nic przyprowadzić go przed siebie. Oficer prędko go wynalazł, a zbliżywszy się do Poniatowskiego, zapytał, — kto jest, i czego sobie życzy? Poniatowski odpowiedział na to, że jest Niemcem, krawcem, i przybył do Oranjenbaumu, aby wziąć miarę na mundur jednemu z oficerów holsztyńskich.

— Mam rozkaz zaprowadzić cię przed w. księcia, odrzekł oficer.

— To być nie może, gdyż muszę wracać do Petersburga — odpowiedział Poniatowski.

— To mnie nic nie obchodzi, że czasu nie masz; musisz iść ze mną — i to mówiąc, zarzucił mu chustkę na szyję i pociągnął za sobą do w. księcia.

W. książę, ujrzawszy Poniatowskiego przyprowadzonego przed siebie jak złoczyńcę, udał zagniewanego i wyłajawszy oficera, kazał go uwolnić. Później z wielkiem upodobaniem opowiadał ten wypadek, a największą pociechą dla nie

go było powtarzać go ze wszelkiemi szczegółami przed w. księżną.

Nie wiadomo, czy nie mogąc oprzeć się pomimowolnej skłonności serca, czy w chęci zemszczenia się na niewiernej małżonce, w. książę zakochał się w tym samym czasie w jednej z córek senatora Woroncowa, brata nowego kanclerza. Było ich trzy siostry: starsza, zamężna za hr. Buturlinem uchodziła słusznie za najpiękniejszą kobietę w Petersburgu; młodsza, Katarzyna, która odegrała później awanturniczą rolę pod imieniem ks. Daszkowej, miała przyjemne rysy twarzy i odznaczała się niepospolitym rozumem (późniejsza prezydentka Akademji nauk, ustanowionej przez Katarzynę. Prz. Wyd.); co zaś do średniej, Elżbiety Romanówny Woroncowej, którą w. książę wkrótce zrobił hrabiną i w której namiętnie się rozkochał, to ta nie odznaczała się ani rozumem, ani pięknością, słowem nie miała w sobie nic pociągającego. Przystępność jej pochlebiała księciu, dziwactwa bawiły, i przyzwyczajenie stało się wkrótce wszechwładnie nad nim panującem. Senator Woroncow, podły i ambitny dworak, w najhaniebniejszy sposób dopomagał księciu do uwiedzenia swej córki.

Tymczasem Elżbieta z dniem każdym coraz widoczniej zapadała na zdrowiu, a potrzeba spoczynku łącząc się z wrodzoną nieporadnością, działała w ten sposób, że odtąd carowa zupełnie zaniedbywała sprawy państwa. Z największą tylko trudnością namawiał ją kanclerz Woroncow do podpisywania najkonieczniejszych dekretów, a siły wracały jej zaledwo podczas uciech i zabawy; bale, maskarady i inne festyny jeszcze ją zajmowały i przychodziła o 11 godzinie wieczorem, resztę nocy trawiąc przy kolacji, i zaledwo o 6 z rana szła spać. Najważniejsze sprawy były dla niej nic nie znaczącemi drobiazgami. — Uwiadomiona o stosunku swego siostrzeńca ze średnią Woroncówną, której uszczypliwie nadała przezwisko Pompadury, carowa często dla zabawy kazała sobie opowiadać najdrobniejsze wypadki z ich pożycia, pragnąc przez to wynaleźć jakikolwiek pretekst do usprawiedliwienia własnego prowadzenia, chociaż równocześnie traktowała Woroncównę bez szacunku patrząc na nią z pewnym rodzajem wzgardy.

Wyczekując z wielką niecierpliwością chwili pojednania, Katarzyna sądziła, że po tak długiem milczeniu, wypadało jej na nowo rozpocząć kroki u carowej; poprosiła też o to na piśmie, lecz Elżbieta zgodziła się pod warunkiem, który oburzył ją do najwyższego stopnia. Kazano jej odpowiedzieć, by się przyznała do wszystkich swoich miłostek i zdała się na łaskę tak carowej, jak swego małżonka. Na podobną propozycję cała duma powróciła Katarzynie. Odtąd stała się niewidzialną na dworze, zamknęła się w swoich pokojach i prosiła carycę, by jej pozwoliła wrócić do Niemiec, wiedząc o tem bardzo dobrze, że tego pozwolenia nie otrzyma. Katarzyna znając nadzwyczajne przywiązanie Elżbiety do młodego Pawła Piotrowicza, nie potrzebowała się obawiać żeby monarchini zechciała oddalić matkę od syna, czem zakwestjonowałaby sama prawowite dziecka pochodzenie. Środek ten powiódł się wybornie, i w ślad za nim nastąpiło pogodzenie się, wtedy właśnie, gdy już wszyscy mieli ją za całkiem zgubioną; ku wielkiemu zdziwieniu dworu, ujrzano Katarzynę siedzącą obok carycy w teatrze, i wyszczególnianą nadzwyczajną uprzejmością. Wprawdzie, w potajemnej umowie, którą zawarła w. księżna z carową, przyrzekła więcej nie widywać się z Poniatowskim, i w istocie stała się odtąd nierównie ostrożniejszą w swoich postępkach. Poniatowski poprosił wtedy o pożegnalną audjencję; nie tylko miłość ale i ambicja przywiązywały go mocno do Katarzyny; gdy to czynił, wyszukiwał stosownych środków do podtrzymania w niej namiętności, która po niejakim czasie dopomogła mu do włożenia korony polskiej, i ciągle miał nowe pozory do zwlekania wyjazdu.

Machinacjom w. księżnej dopomagał spisek uknuty przez Bestużewa, którego istnienie nie przerwało się z upadkiem ministra, ten bowiem nie przestawał korzystać z najmniejszej sposobności aby czernić w. księcia w oczach carowej; najzręczniej udało się mu wyzyskać na swoją korzyść słabość carowej, gdy jej podszepnął przez swoich sprzymierzeńców, że w. książę jest zachwycony, spodziewając się wkrótce osiągnąć upragnione następstwo tronu. I tak rozdrażniona caryca przeciwko swemu siostrzeńcowi, została tą wiadomością najboleśniej zranioną. W pierwszej chwili uniesienia, zagroziła nawet pozbawieniem go tronu. Wiele sądziło wtedy, że zamyśla wrócić następstwo księciu Janowi (Iwan), którego przed 20 laty zrzuciła z tronu a który dotąd dręczył się zamknięty w fortecy; inni zaś nie bez głębszych podstaw przypuszczali, że następstwo przyznanem zostanie Pawłowi Piotrowiczowi.

Po niejakim czasie (w grudniu 1761 r.) gdy w. książę wyjechał do Oranjenbaumu, kazała carowa odegrać w teatrze operę, lecz wbrew swemu zwyczajowi nie zaprosiła na nią żadnego z cudzoziemskich ministrów ani nikogo z dworskich; towarzyszyły jej tylko w. księżna i najbliższe damy z otoczenia; wszedłszy do loży, zaczęła narzekać na małą liczbę widzów, przyczem kazała wprowadzić na parter żołnierzy gwardji. Gdy teatr nimi się napełnił, wzięła na ręce młodego Pawła, a podniósłszy go nad głowami starych wiarusów, którym zawdzięczała koronę, chwaliła jego przyjemność, szczególniejsze rysy twarzy, piękne zalety rozumu i serca, zdając się tem prosić o ich względy przychylne tak dla niego jak i dla siebie. Żołnierze krzyknęli na to głośno: — hurra! Gdyby Elżbieta zechciała była posunąć dalej wyjątkowe swoje postępowanie, mogłaby wtedy Piotra na wieki odepchnąć od tronu; nie zważając atoli na zachwycenie starej gwardji, carowa nagle ucięła. Być może, że był to jedynie środek mający ją przekonać o przywiązaniu żołnierzy, by tem skuteczniej urzeczywistnić dalsze zamiary, albo próbowała tylko nastraszyć w. księcia. W mieście nowina o tem całem zajściu zaczęła budzić rozmaite domysły, zwłaszcza w kołach dworskich; opowiadano sobie po cichu, pewną historyjkę, w istocie nie mającą żadnej rozumnej podstawy, mianowicie, że przy urodzinach Pawła, Elżbieta nakłoniła jego mamkę, by zamiast niego wzięła dziecko, które carowa miała z Razumowskim. Jakiekolwiek były zamiary carowej względem Pawła, śmierć temu wszystkiemu koniec położyła.

(C. d. n.)

ISMAILIA

przez

SAMUELA W. BAKER.

Opis ekspedycji do środkowej Afryki dla zniesienia handlu niewolnikami.

Spisał według oryginału angielskiego

K. H. Ślepowron.

(Ciąg dalszy.)

XIII.

Intrygi w obozie i wojna o zboże.

Widząc często płynące z wodą badyle dury, wywnioskowałem, że w górze rzeki muszą być jeszcze urodzajne wyspy, zaczem wysłałem porucznika Bakera z kilkudziesięcioma ludźmi, żeby bliżej tę rzecz zbadał. W kilka dni przypłynęła łódź z wiadomością, że porucznik wygnawszy mieszkańców, zajął wyspę dalej ku południowi. Natychmiast odpłynąłem z zasiłkiem, by mu przyjść w pomoc; mieliśmy teraz wspaniałe trzy wielkie wyspy, których urodzajność była nadzwyczajna; wprawdzie grunta uprawne ciągnęły się tylko samym brzegiem, środek wyspy bowiem jest mokry i bagnisty, ale za to nadbrzeża były tak żyzne, że małe przestrzenie dawały trudne do pojęcia zbiory, a śpichlerze bardzo licznych wsi były przepełnione ziarnem. Przez całe dwanaście dni pracowaliśmy nad zbieraniem zboża, w którym to czasie ciężko naładowane okręta, tam i napowrót robiły drogę do Gondokoro. Wtem dostałem zawiadomienie z moich dwóch stacji, iż Achmet wymłócił już swoje zboże i czeka tylko na statki, major zaś Abdullah wysłał już cały zapas, i czeka na dalsze rozkazy. Posłałem mu instrukcję, żeby zaraz puścił się w drogę, kierując ku południowi, i brał w posiadanie wsie położone po drodze przeciwległe moim statkom. Okolica w tej części była otwarta, urozmaicona małemi pagórkami, i rozrzuconemi jak w pośród parku drzewami, kończąc się na odległości pięciu mil od rzeki ostrą skał zasłoną. Podczas gdy okręty nasze ciężko wyładowane, czekały chwili odpłynięcia, dla rozerwania się po tylodniowym mozole, puściłem się w towarzystwie porucznika Baker na małą wycieczkę, strzelając po drodze dzikie kaczki i gęsi, w które obfitują mokre części wyspy i sąsiednie jeziora. Koło czwartej po południu doleciał nas odgłos rotowego ognia; domyśliliśmy się, że to pewnie major Abdullah ze swoim oddziałem, którego spodziewaliśmy się każdej chwili, został napadnięty przez krajowców. Zaraz też powróciliśmy do naszego okrętu, zkąd żona moja miała doskonały widok na tę małą utarczkę.

W odległości blisko mili od okrętów, oddział majora Abdullah maszerujący stosownie do moich rozkazów, został znienacka napadnięty przez znaczną liczbę mieszkańców. Była to piękna utarczka w otwartem polu; bębny i rogi odzywały się ostremi tony, na których głos zbiegali się ze wszystkich stron krajowcy na pole bitwy. Białe uniformy moich żołnierzy, odbijały doskonale od czarnych postaci nagich Barysów, mogliśmy zatem doskonale śledzić wszystkie poruszenia. Major Abdullah bardzo oględnie zabezpieczył tył oddziału, obsadzając jedną z małych wiosek, ufortyfikowaną gęstym płotem (*eupherbji*), na froncie zaś rozrzucił strzelców w jedną linję, podtrzymując ich siłą, zajmującą pozycję we wsi. Tymczasem krajowcy, wydając

dzikie okrzyki rozlegające się dokoła, otoczyli oddział Abdullaha składający się z dziewięćdziesięciu ludzi. Dotychczas nie zdarzyło mi się widzieć krajowców tak dobrze bijących się w otwartem polu; żołnierze utrzymywali gęsty ogień, który jednakże nie zdawał się czynić im wiele złego, postępowali bowiem ciągle naprzód, rzucając lance, i wypuszczając bezustannie strzały na linję strzelców. Kazałem zaraz umieścić jedną armatę w łodzi, a ludziom stać w pogotowiu. Ponieważ statki nasze major widział doskonale, czekałem zatem sygnału, w razie gdyby moja pomoc była potrzebną; wtenczas przepłynąwszy rzekę, myślałem z boku zaatakować nieprzyjaciół. Przy mnie znajdowało się tylko dwudziestu ludzi z pułku „Czterdziestu,“ i ośmiu artylerzystów; reszta była na wyspie, zajmując pozycję o cztery mile w tyle. Przed samym zmrokiem zauważałem, że Barysi zaczynają ustępować, widocznie w skutek znaczniejszych strat. W tej chwili trąbka dała sygnał „naprzód,“ poczem jeszcze wśród zapadającego zmroku widzieliśmy w pogoń rzucających się żołnierzy. Barysi zaprzestali dąć w swoje rogi, i zebrani w jeden punkt, stanęli w znacznej odległości od żołnierzy, którzy również zformowani zatrzymali się w swojej pozycji, odtąd słychać było tylko z rzadka odzywające się strzały, a w końcu noc zakryła wszystko przed naszym wzrokiem.

Spodziewając się jeszcze nocnego napadu, kazałem by armata była w pogotowiu, chociaż wiedziałem z drugiej strony, że w zajmowanej pozycji po za gęstym żywym płotem, którego grube i mięsiste gałęzie, są najlepszym wałem, ochraniającym od strzałów dzikich, Abdullah jest zupełnie bezpieczny.

Noc przeszła bez żadnego alarmu. Rano doładowawszy jeszcze ostatni okręt, zamierzyłem popłynąć z mojej wyspy do stałego lądu, na którym znajdował się oddział Abdullaha. Minąwszy mielizny, znajdujące się na samym środku kanału, co nam godzinę czasu zabrało, dobiliśmy do wysokiego brzegu, który tworzył bardzo dogodną przystań. Z tego miejsca okolica, zrazu pagórkowata, w coraz wyższe wznosiła się góry, tworząc ładny krajobraz, który na wszystkich punktach urozmaicały wsie gęsto rozrzucone. Krajowcy widocznie porzucili te strony, gdyż ani jedna dusza nigdzie się nie pokazywała.

Nie widząc zbliżającego się oddziału majora Abdullah, sądziłem, że znalazł znaczne zapasy zboża, które zabiera i dla tego opóźnił się z wymarszem. Ranek był śliczny. Nie mając co robić, wziąłem strzelbę i w towarzystwie Bakera, dwóch żołnierzy i nieodstępnego Monsora, puściliśmy się ku wsi zajmowanej przez nasz oddział, strzelając po drodze kaczki i gęsi, w niezliczonej ilości napotykające się w tych stronach. Byliśmy już o jakie pół mili od wsi położonej na wzgórzu, gdy dostrzegłem wychodzący tłum ludzi, z dużemi koszami na głowach. „Żołnierze znaleźli duże zapasy zboża i niosą je teraz do okrętu“ zauważył Monsor. Mój wzrok był atoli lepszy jak jego, dostrzegłem bowiem zaraz, że ci ludzie nie są z naszego oddziału, lecz Barysi unoszący spiesznie swoje ziarno. Gdzie jednak mógł się podziać Abdullah? widocznie opuścił swoją pozycję, ale dla czego i po co? Takie były pytania na któreśmy nie mogli znaleść odpowiedzi. Tymczasem było nas tylko pięciu, Barysi zatem mogli nas z łatwością zaatakować i odciąć od okrętów. Zrozumiawszy położenie, postanowiłem wrócić natychmiast bardzo wolno i spokojnie, aby okazać nieprzyjaciołom, że się ich nie obawiamy, i jesteśmy zupełnie swobodni. Powróciwszy na okręt, wysłałem natychmiast jedną dużą łódź, żeby płynąc na dół rzeką, starała się w drodze zatrzymać oddział Abdullaha, który musiał się cofnąć, dla niezbadanej jakiejś przyczyny. Byłem bardzo zniecierpliwiony tym faktem. Dziewięćdziesięciu ludzi zlękło się wczorajszej z krajowcami utarczki, i cofnęli się widocznie ku pozycji zajmowanej przez podpułkownika Achmeta, zamiast złączyć się zemną, skutkiem czego zostawili mnie na los szczęścia z małą garstką trzydziestu ludzi. Był to przykład nieradności oficerów pozostawionych własnym siłom.

Wysławszy łódź, wziąłem z sobą dziesięciu ludzi, i razem z porucznikiem Baker, puściłem się wzdłuż brzegu rzeki w myśli spotkania wracającego łodzią oddziału. Podczas tego marszu, zabawialiśmy się strzelaniem kaczek, co było obliczone na obałamucenie krajowców, aby pochodu naszego nie uważali za ucieczkę z bojaźni przed nimi. W godzinę ukazał nam się rozpięty żagiel opływający górę Regiaf; wiatr dął silny, okręt szybko pomykał, ciągnąc za sobą łódź, wysłaną przezemnie, a gdy załoga ujrzała moje znaki, statek dobił do brzegu. Wkrótce wylądowali major Abdullah i jego waleczni towarzysze. Pospieszny odwrót, który ze świtem rozpoczął, major usprawiedliwiał obawą ponownego ataku nieprzyjaciela, zwłaszcza że zapas jego amunicji był prawie wyczerpany; że mógł się ze mną porozumieć przez trąbkę, o tem zapomniał. Przystąpiwszy do przejrzenia ładownic, przekonałem się, że największa część żołnierzy miała osiemnaście do dwudziestu naboi, reszta zaś co najmniej jedenaście; taka więc ilość uważaną była przez majora za zupełne wyczerpanie amunicji.

Napad wczorajszy opisywał jako wykonany przez znaczną siłę, i z niesłychaną odwagą; żołnierze jednak odparli groźny atak, nie doznawszy żadnego ubytku ani w zabitych ani w rannych, podczas gdy nieprzyjaciel utracił dwudziestu ludzi, których ciała Abdullah sam przeliczył.

Chcąc osobiście obejrzeć pole wczorajszej bitwy, zwróciłem się z całym oddziałem ku wsi; poprzednio zajmowanej przez majora. Zbliżywszy się, ujrzałem kilkadziesiąt sępów, zajmujących różne punkta, na których ziemia krwią była zbroczona, a tuż przy płocie leżał przez dzikie ptactwo oporządzony szkielet ludzki, co dowodziło, że nieprzyjaciele rzeczywiście podsunęli się odważnie do zajmowanej przez wojsko pozycji. Wszystkie ciała zostały jak zwykle uniesione przez Barysów, którzy sumiennie grzebią poległych towarzyszy, nie zostawiając ich nigdy na pastwę ptactwu; szkielet więc pozostały musiał należeć do jakiegoś przybysza, który widocznie nie miał przyjaciół.

Po zbadaniu miejscowości posunęliśmy się na południe, i przechodząc liczne osady całkiem przez mieszkańców opuszczone, obrałem nakoniec pozycję w sześciu bardzo z sobą zbliżonych wsiach, które tworzyły małą kolonję. Tu zostawiłem majora Abdullaha z jego oddziałem, polecając, aby zgromadził durę ze wszystkich sąsiednich zagród, i niezwłocznie ją wymłócił. Równocześnie naładowane statki odesłałem do Gondokoro, pod komendą Bakera z rozkazem dla pułkownika Achmeta, żeby jak najspieszniej złączył się ze mną. W kilka dni, t. j. 4. listopada wysłałem piętnastu ludzi z „Czterdziestu“ dalej na południe, gdzie odkryłem jeszcze ogromne zapasy zboża. Okolica ta leżała za pasmem gór, które ją całkiem zakrywały. Na skalistym brzegu przypierającym do statków, ludzie moi powystawiali sobie naprędce zgrabne chaty, tworząc w ten sposób mały improwizowany obóz, a w pośrodku stały moje konie, i spichlerze napełnione w połowie czysto namłóconem ziarnem, które czekało powrotu okrętów z Gondokoro. Właśnie byłem zajęty ostatecznem urządzeniem naszej stacji, gdy pojedyńcze częste strzały, w kierunku wysłanych żołnierzy z pułku „Czterdziestu,“ zwróciły moją uwagę. Nie mogąc nic zobaczyć z miejsca przez nas zajmowanego, rozkazałem podać sobie konia, a zostawiwszy małą straż przy łodziach, wszyscy bowiem ludzie zajęci byli czyszczeniem zboża, zabrałem tylko z sobą Monsora i trzech żołnierzy. Kłusem dopadłem najwyższego punktu góry, pokrytej ślicznym kobiercem zielonej trawy, zkąd ujrzałem całą okolicę, łamiącą się w licznych pagórkach z Białym Nilem płynącym w głębi doliny. Nie opodal leżała wieś, w której postrzegłem straż stojącą na dwóch najwyższych chatach, podczas gdy reszta oddziału wysunąwszy się naprzód, strzelała do murzynów z małym jednak skutkiem. Widocznie zostali z nienacka napadnięci, ale straż na dachach jeszcze dość wcześnie rzuciła alarm; przestrzeń była otwarta i prawie całkiem z drzew obnażona, tylko gdzie niegdzie wznoszące się pagórki, były głębokiemi przerznięte wąwozami, które rozdartym kanałem skalistym w porze dżdżystej toczyły wody, spadające z gór do Białego Nilu.

Za mojem ukazaniem się na białym koniu, z czterma tylko ludźmi, ozwały się ze wszech stron bębny i rogi, poczem ukazali się krajowcy, którzy biegnąc pędem, łączyli się w widocznej myśli napadnięcia na mój szczupły zastęp. Przez ten czas dojechałem do wsi, i kazawszy wstrzymać ogień, rozwinąłem moich ludzi w jeden szereg, i tak zajmując przestrzeń na siedemdziesiąt kroków ruszyłem naprzód. Front ze szkarłatnych mundurów, jakie nosił pułk „Czterdziestu,“ wyglądał wcale imponująco; na czele jechałem sam na pełnej krwi arabie „Gridy-Grey.“ Był to najpiękniejszy koń, jakiego kiedykolwiek miałem, pełen ognia, ogromnej szybkości w biegu, i rzadkiej odwagi w boju; strzał znosił bez drgnienia. W tym porządku postępując szybko naprzód, słyszeliśmy ciągle wznoszący się chór dzikich okrzyków, złączony z suchym odgłosem bębna i rykiem rogów. Zebrane tłumy mieszkańców szły na przeciwko nas, uzbrojone w łuki i lance, gestykulując i skacząc ustawicznie z jednej strony na drugą, podług swego zwyczaju, dla utrudnienia nam celu. Spuściwszy się pospiesznie w mały wąwoz, stanęliśmy niebawem na drugim pagórku, i ztamtąd ujrzeliśmy murzynów cofających się po za drugie wzgórze. Przeszedłem tak jeszcze blisko milę, bez jednego wystrzału, i gdy nieprzyjaciel cofał się ustawicznie, zachowując między nami jednakową odległość, pojąłem jego zamiar. Była już piąta po południu, za godzinę słońce miało zajść, a my tak ciągnięci za cofającym się nieprzyjacielem, mieliśmy w chwili, gdy mrok odejmie celność strzałom naszym, zostać otoczeni przez przeważną siłę, i być odcięci od okrętów. Wstrzymałem więc mój oddział, a objaśniwszy żołnierzom zamiar Barysów, kazałem wykonać spieszny odwrót, który miał dać do myślenia naszym nieprzyjaciołom, że zmykamy przed ich siłą.

Po przejściu pierwszego pagórka, postanowiłem w chwili, gdy na jakiś czas będziemy zakryci przed wzrokiem murzynów, którzy nie-

wątpliwie za nami podążą, ukryć się we wsi opuszczonej, i tam przyjąć podążającego za nami nieprzyjaciela. Po wykonanym zwrocie, oddział mój przejęty myślą manewru, z szybkością puścił się na dół pagórka; na widok naszego odwrotu dzicy wydali okrzyk radości w nadziei odcięcia nam powrotu do okrętów. Przeszedłszy prawie suche koryto małej rzeczki, sączącej się w dolinie, wdrapywaliśmy się na grzbiet drugiej góry, i ztamtąd obróciwszy się ujrzałem Barysów w całym pędzie podążających za nami i spuszczających się na dół właśnie, gdy my przebyliśmy szczyt góry. W tej chwili tracąc się obopólnie z oczów, zajęliśmy spiesznie pozycje ukryte za zabudowaniami wsi. Barysi znajdujący się na wzgórzu po prawej naszej stronie, widzieli nas wykonywujących ten manewr, i trąbiąc na rogach z antylop usiłowali ostrzedz podążających za nami krajowców, którzy jednak nie zważając na dawane znaki, niebawem się ukazali. Zapowiedziałem moim ludziom, aby nie dawali ognia bez mego rozkazu; sam zaś ukryty za chruścianym śpichlerzem z nieodstępnym Monsorem u boku, czekałem sposobności przywitania ich mojemi strzałami. Krajowcy znajdujący się po prawej stronie posunęli się naprzód, zajmując nam tył, podczas gdy z frontu, bez najmniejszego porządku postępujący oddział, rozbiegł się rozglądając po wszystkich stronach. W tem zauważyłem jedną całkiem czerwoną postać, która wyglądała jak laska laku z szerokiemi bransoletami z kości słoniowej. Człowiek ten był na samym przodzie, i wchodził właśnie na duże mrowisko dla lepszego objęcia wzrokiem okolicy.

— To szejk — szepnął mi z tyłu Monsor, gdy przyklęknąwszy za ścianą, zmierzyłem się do niego. Strzał się rozległ i czerwony człowiek przekoziołkowawszy się kilka razy stoczył się z pagórka. W tej chwili dały się słyszeć przeraźliwe krzyki; rogi dęły jakiś ogłuszający alarm, podczas gdy czerwony szejk usiłował powstać i giestami oznajmiał, że żyje. Łuki Barysów posyłały nam tymczasem strzały, które jednak nie dosięgały celu. Monsor stał tuż koło śpichlerza trzymając dla mnie ciągle w pogotowiu dwie strzelby; moi ludzie spokojnie ukryci czekali rozkazu, a ja wdrapawszy na szczyt okrągłego zabudowania, mogłem doskonale mierzyć, gdzie wypadnie. Czerwony szejk, był teraz o jakie 200 kroków oddalony, gestykulując i energicznie przemawiając do swoich ludzi, którzy widocznie byli zastraszeni naszem ukryciem, gdy w tem wymierzona kula z wysokości mojej pozycji przeszywając go przez piersi, przerwała słowa zachęty, i padając na twarz, legł, by już więcej nie powstać. Kilku mieszkańców rzuciło się naprzód dla podniesienia ciała, jeden z nich dosięgnięty kulą upadł, lecz zrywając się jak kot na nogi, dalej pogonił; w tem posłane dwa nowe strzały dosięgły uciekających, którzy spiesznie poczęli opuszczać tak niebezpieczne miejsce. Moi żołnierze prosili mię teraz, by im pozwolić pogonić za uciekającymi, i wysadzając się w piętnastu, ruszyli naprzód. Barysi odwróciwszy się, wysłali naszym kilkanaście strzał z łuków, ale ci przyklęknąwszy w otwartem polu, rozpoczęli ogień i zraniwszy jednego, który zaraz przez swoich został uprowadzony, puścili się naprzód, roznosząc kilku na bagnetach, i po zdobyciu broni po zabitych, w tryjumfie powrócili na swoje stanowisko. Nieprzyjaciel stanął w różnych punktach na 400, do 1.000 kroków w oddali; wielu zajmowało nasz tył, rozchodząc się to w prawo to w lewo, widocznie nie wiedzieli, czy nam nie odciąć powrotu do okrętów. Postanowiłem korzystać z ich niedecyzji, i odmieniając broń na wszystkie strony raziłem ich celnemi strzałami. Gdy już kilku legło, reszta wystraszona ciągłym świstem kul koło uszów, zaczęła się spiesznie wynosić. Przeraźliwe ich bębny zaczynały już cichnąć, gdy zauważyłem raptowny zwrot i zamięszanie w tłumie krajowców znajdujących się po naszej prawej stronie; wszczął się wrzask i popłoch. Barysi wydając krzyk przeraźliwy całym pędem zwrócili się w przeciwną stronę, a za nimi ukazał się szereg pędzących żołnierzy. Był to oddział pod dowództwem sudańskiego oficera, który pod marszałkiem Bazaine służył w Meksyku. Energiczny ten oficer, usłyszawszy strzały, gdy wracał z dziennym ładunkiem zboża ku okrętom, pozostawił ziarno na drodze i pospieszył nam w pomoc. Złączywszy się z nim, wykonałem odwrót w porządku, i w pół godziny po zapadłym zmroku stanęliśmy w naszym obozie.

(C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

Wieczne Śniegi.

Jeżeli w okolicy tropikowej będziemy się wspinać z doliny na wierzchołek góry, która ma wysokości najmniej 15.000 stóp, a więc n. p. na który ze szczytów Kordyljerów, zauważymy że temperatura coraz się zmniejsza, a roślinność się zmienia w stosunku do klimatu tak samo, jakbyśmy odbywali drogę z równika ku północnemu lub południowemu biegunowi. Jak tu następuje nasamprzód strefa gorąca, potem umiarkowana, a nakoniec zimna, tak też i tam, różnica tylko polega na tem, że w kierunku od równika ku biegunom, strefy klimatów i wegetacji leżą obok siebie na płaszczyźnie, podczas gdy w górach wznoszą się pasmami jedna nad drugą.

Opuściwszy znajdujące się u stóp Kordyljerów gaje palmowe i bananowe i zacząwszy się wspinać w górę, spostrzegamy jeszcze do wysokości 5.000 stóp drzewa i krzewy liściaste; udają się tutaj wszystkie rośliny plantacyjne gorącej strefy, albowiem temperatura w cieniu wynosi jeszcze plus 20° R. Idźmy dalej, a wzniósłszy się po nad 5.000 stóp dojdziemy do granicy kaktusów, które w tem miejscu tworzą rozległe lasy. Oprócz kaktusów znajdujemy tutaj rośliny mające wiele podobieństwa do północno-amerykańskiej i europejskiej flory. Udają się tutaj wszystkie warzywa obu tych stref roślinnych. Podczas nocy w maju i czerwcu woda pokrywa się grubym na cal lodem, podczas gdy południowa temperatura w cieniu wynosi plus 10° R., a termometr w słońcu podnosi się jeszcze do 35° R.

Wspinając się wyżej, uczujemy wzmagające się z każdym krokiem zimno, jakkolwiek promienie słońca w południe pieką jeszcze dokuczliwie. Wegetacja staje się taką samą, jaką mają kraje położone nad zatoką Hudsona i na północy Europy; rosną tutaj dziko drzewa szpilkowe i krzaki podobne do jałowca i trawa. Można uprawiać ziemniaki, Quinoa (rodzaj pszenicy) i jęczmień, który jednak w wysokości 10.000 stóp już nie dojrzewa i nie wydaje ziarna, stanowiąc tylko wyborną paszę dla bydła. Między 10 do 14.000 stóp spotykamy na pasie mającym około 1.000 stóp szerokości wegetację, podobną jak krople wody do tej, jaką posiada Grönlandja i Szpicbergi. Idźmy jeszcze wyżej, a dojdziemy do miejsca, gdzie życie organiczne ustaje zupełnie; znajdujemy się w regjonie wiecznego śniegu, jakkolwiek jesteśmy na równiku, a kilkanaście tysięcy stóp pod nami upał jest nie do zniesienia.

Między zwrotnikami są kraje n. p. Peru i Boliwja, w których klimatyczne różnice naszej ziemi możemy studjować na przestrzeni 7 mil, nie wznosząc się wyżej jak tylko ³/₄ mili, podczas gdy odległość równika od biegunów wynosi 1350 mil. Jeżeli kto chce mieć wyobrażenie, jak może wyglądać na biegunie północnym, niekoniecznie potrzebuje puszczać się w tak długą i niebezpieczną podróż: wystarczy mu jeżeli zrobi podróż w Alpy, połączoną z daleko większą przyjemnością i wygodą. Podróżując z południowej Francji do Alp nadmorskich, mamy naprzód pomarańczowe drzewa, gaje oliwne i mirtowe, wawrzyny i dęby wiecznie zielone, nad którymi wznoszą się sosny i pojedyńcze drzewa daktylowe. Wzniósłszy się wyżej, przebiegamy lasy kasztanowe i dębowe z opadającym liściem; wyżej jeszcze spotykamy buki, a nadomiar drzewa szpilkowe i krzewy. Następnie nie widzimy już żadnego drzewostanu. Towarzyszą nam jeszcze przez jakiś czas karłowate krzaki, które potem ustępują miejsca porostom, aż nakoniec wieczny śnieg, który nawet w najgorętszych miesiącach nie topnieje, nie dozwala rozwijać się żadnej roślinności. W ten sposób postępując od morza Śródziemnego ku linji śnieżnej podczas wędrówki trwającej dzień jeden, możemy widzieć tyle różnych flor, jakbyśmy przez cztery miesiące z morza Śródziemnego do morza lodowatego podróżowali.

W każdych górach, jeżeli tylko są dostatecznie wysokie, znajdujemy granicę, po za którą śnieg nawet w miesiącach letnich nie topnieje; w okolicy leżącej bezpośrednio pod tą linją graniczną, flora ma zadziwiające podobieństwo do flory podbiegunowej. Nie tylko wszystkie familje roślin i gatunki są prawie te same, ale co więcej, bardzo wiele rodzajów mają obie te flory wspólne; zasługuje to na podziwienie tem bardziej, ponieważ między Alpami a najwyższemi norwegskiemi górami, gdzie się znowu tę samą florę spotyka, znajdują się rozległe równiny i niższe pasma gór, na których podbiegunowe rośliny rosnąć nie mogą.

Tę florę polarną, jak słusznie nazwać możemy florę alpejską, spotykamy nietylko w wyższych regionach Alp, najwyższych gór w Europie; znachodzimy ją w Europie, Azji i Ameryce, wszędzie w górach o tyle wysokich, aby miały klimat odpowiedni dla tych roślin. Dla tego znajdujemy tę samą florę w Piryneach, w Sierra Newada, w Karpatach, na Kaukazie i w górach szkockich, norwegskich i islandzkich; odszukujemy jej ślady na najwyższych szczytach Apenin i gór hiszpańskich, widzimy ją na Altai, w górach Taurycklch, w Himalaji i w wyższych pasmach gór północno-amerykańskich, a nawet w Kordyljerach nad równikiem.

Charakterystyczną cechą tej flory są piękne, jednobarwne kwiaty, odznaczające się szczególniej powabnym kształtem i wielkością. Śnieżysta białość, najpiękniejszy błękit i jaskrawa puspura tworzą dziwny kontrast z nieczystemi barwami kwiatów rosnących na płaszczyznach. Jakkolwiek jednak kwiaty alpejskie bawią oko ślicznemi swemi barwami, brak im za to po większej części zapachu. Te miłe dziatki Flory przedstawiają się w Alpach tem cudowniej, ponieważ ich oto-

czenie tworzy z niemi rażący kontrast: rosną na nagich skałach pośród nieprzejrzanych pól śniegowych. Widok alpejski jest miły i majestatyczny zarazem.

Pod pewnym względem flora alpejska podobną jest do naszej wiosennej; różnica jest tylko ta, że flora alpejska nie zna lata ani jesieni. Po wiośnie bezpośrednio następuje zima. Ale właśnie ta krótkość wiosny czyni florę alpejską jeszcze milszą i interesowniejszą: podobną ona jest do motyla o tęczowych barwach, który tylko kilka tygodni żyje, przeleżawszy się przez wiele miesięcy jako poczwarka ukryty w ziemi.

Tak jak region flory alpejskiej zniża się ciągle w kierunku od równika ku biegunom, a pasy reprezentujące pojedyńcze strefy wegetacji coraz się stają węższe, tak samo zniża się i granica wiecznego śniegu. Na równiku — w Kordylierach — trzeba się wznieść do 14.500 stóp wysoko, aby dosięgnąć granicy wiecznego śniegu; na Etnie leży ta granica w wysokości 9.000 stóp, w Pireneach między 8—9.000 stóp, tak samo i w Alpach, w Karpatach zaś obniża się do 8.000 stóp; w Uralu leży niżej 5.000 stóp, a w Szwecji i Norwegji chwieje się między 6.000, a 2.200 stóp (Hammerfest i Przylądek Północny.)

(C. d. n.)

W górę!

Z ziemi zwątpień, z ziemi kałów,
Gdzie schła marnie,
Do krainy ideałów,
Pieśń się garnie.
Czyż dziwota? Tu tak brudno
Tam, tak biało —
Tu o oddech piersi trudno
Tam, tchnij całą!
Co krok tutaj to przeszkody
Drgnąć nie śmiecie.
„Pokaż paszport a dowody
Muz, ty, dziecię!“
Tam gdzie spojrzysz, w którą stronę,—
Swobód zdroje,
Niepojęte, niezmierzone;
Wszystko twoje!
Tu tak ciemno — gwiazdek parę
I te gasną,
Zwątpisz nie chcąc w każdą wiarę,
W twoją własną!
A tam przestwór. Hej! bez końca!
Hulaj duszo!
W nim księżyce, gwiazdy, słońca,
Śniegiem pruszą!
A tam jasno. Nic nie kłamie,
Nic nie zwodzi,
Słowo z czynem, ramię w ramię,
W parze chodzi.
A tam, z czystych wiar krynicy
Ufność błogą
Mogą czerpać podróżnicy,
Znojni drogą!...
I gdy życia cierpkie męty,
Gorżkie fale,
Zrodzą niesmak, zrodzą wstręty,
Smutki, żale,
Z przejrzystego marzeń zdroju,
Z dum strumienia,
Czerpnąć spory haust spokoju,
Zapomnienia.

Paryż d. 22 Czerwca 1875 r.

J. S. Chamiec.

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Rozdział XIX.

(Ciąg dalszy).

(Pora deszczowa. — Kwestja odzienia. — Polowanie na foki.— Fabrykacja świec. — Domowe roboty w Pałacu Granitowym. — Dwa mostki. — Wyprawa po ostrygi. — Co Harbert znajduje przy sobie w kieszeni).

Pora zimowa rozpoczęła się na serjo z miesiącem czerwcem, któremu na północnej półkuli odpowiada grudzień. Rozpoczęła się zaś ulewą i wichrami następującemi po sobie bez przerwy. Wtedy to mieszkańcy Pałacu Granitowego mogli ocenić korzyści mieszkania zabezpieczonego od burz i słoty. „Dymniki“ byłyby im zaiste niedostatecznego udzieliły schronienia przed srogością zimy, a prócz tego można się było obawiać powtórnego zalewu ze strony wzburzonych wichrami fal morskich. Cyrus Smith przedsięwziął był nawet pewne środki ostrożności, ażeby ile możności ubezpieczyć umieszczoną w „dymnikach“ kuźnię i piece.

Cały ten miesiąc czerwiec upłynął na rozmaitego rodzaju pracach, przy których nie zaniedbywano także polowania ani rybołówstwa, tak że spiżarnia mogła być zawsze obficie zaopatrzoną. Pencroff postanowił wolnym czasem sporządzić łapki, po których wiele sobie obiecywał. Sporządził także siatki z włókien roślinnych i nie minął dzień żaden, ażeby królikarnia nie dostarczyła do kuchni pewnej ilości strzyżaków. Nab cały prawie czas trawił na soleniu i na wędzeniu mięsa, w skutek czego konserwowało się wybornie.

Teraz poczęli zastanawiać się na serjo nad kwestją odzienia. Osadnicy nasi posiadali tylko te suknie, w których wyrzucił ich balon na wysepkę. Suknie te były ciepłe i trwałe, czuwali nad niemi i nad bielizną swoją z największą troskliwością, utrzymywali je we wzorowej czystości, mimo to jednak trzeba je było wkrótce zastąpić innemi. Wreszcie na wypadek ostrej zimy musieliby osadnicy nasi cierpieć srogie zimno.

W tym względzie przemyślność zawiodła Cyrusa. Zmuszonym był myśleć o zaradzeniu najgwałtowniejszym potrzebom, stworzyć mieszkanie, zaopatrzyć się w żywność; tym sposobem mogły ich mrozy zaskoczyć zanimby kwestja odzienia została załatwioną. Trzeba się więc było uzbroić w rezygnację i przepędzić zimę bez szemrania. Za powrotem wiosny mieli wyprawić wielkie polowanie na owe barany skalne, które zjawiły się im podczas wycieczki na górę Franklina, a nagromadziwszy dość wełny, potrafiłby inżynier niezawodnie sporządzić z niej ciepłe i trwałe materje... Jak? — to już było jego rzeczą.

— No cóż, wynagrodzimy to sobie wędząc nasze łydki przy ogniu w Pałacu Granitowym! rzekł Pencroff. Paliwa mamy dość, nie ma więc powodu oszczędzać go.

— Zresztą, odparł Gedeon Spilett, wyspa Lincolna nie leży zbyt wysoko, więc i zimy nie muszą być na niej prawdopodobnie zbyt ostre. Wszak powiedziałeś, Cyrusie, że ten trzydziesty piąty równoleżnik odpowiada mniej więcej położeniu Hiszpanii na tamtej półkuli?

— Bez wątpienia, odparł inżynier, jednak i w Hiszpanii bywają czasem ostre zimy! Nie brak wtedy ani śniegu ani mrozów, więc i wyspa Lincolna może być także przez nie nawiedzoną. W każdym razie jednak jest to zawsze wyspa, i jako taka powinna, jak sądzę, posiadać temperaturę bardziej umiarkowaną.

— A to czemu, panie Cyrus? zapytał Harbert.

— Ponieważ morze, moje dziecko, można uważać za rodzaj olbrzymiego zbiornika przechowującego w sobie ciepło nagromadzone letnią porą. W zimie wydaje ze siebie tę ciepłotę, w skutek czego w krajach nadmorskich panuje zawsze średnia temperatura, nie zbyt wysoka w lecie, lecz za to nie zbyt niska w zimie.

— Przekonamy się o tem, odparł Pencroff. Dlatego też nie myślę wcale łamać sobie głowy nad tem, czy będzie zimno, czy nie. To jednak pewna, że dnie są już krótkie, a wieczory długie. Dlatego wartoby się zastanowić nad kwestją światła.

— Nic łatwiejszego, odparł Cyrus Smith.

— Jak zastanowić się nad nią? zapytał marynarz.

— Jak ją załatwić.

— Kiedyż się do tego weźmiemy?

— Jutro, a zaczniemy od polowania na foki.

— Ażeby fabrykować z nich łój?

— Wstydź się, Pencroffie, świece!

Taki był w samej rzeczy projekt inżyniera. Projekt ten dał się łatwo wykonać, zwłaszcza że mieli wapno i kwas siarczany, a foki miały im dostarczyć potrzebnego do tej fabryki tłuszczu.

Był to właśnie dzień 4. czerwca i niedziela Zielonych świąt. Uchwalili zatem jednogłośnie obchodzić to święto uroczyście. Zawiesili więc wszystkie roboty a natomiast wznosili modły do nieba. Lecz modły ich były modłami dziękczynnemi. Osadnicy wyspy Lincolna nie byli już więcej nędznymi rozbitkami, wyrzuconymi na odludną wysepkę. Nie prosili już o nic, lecz dziękowali.

Nazajutrz 5. czerwca, przy dość niepewnej pogodzie, wyruszyli na wysepkę. Trzeba było korzystać z odpływu, ażeby kanał przejść w bród. Przy tej sposobności postanowili bądź co bądź wybudować czólno, któreby ułatwiało im na przyszłość komunikację i na którem by mogli popłynąć Dziękczynną w głąb kraju, podczas wyprawy w południowo-zachodnie okolice wyspy, którą zamierzali przedsięwziąć w pierwszych dniach wiosny.

Fok było podostatkiem, i myśliwi nasi uzbrojeni w okute żelazem oszczepy, ubili ich z łatwością pół tuzina. Nab z Pencroffem odarli je na miejscu ze skór, i zabrali ze sobą tylko tłuszcz i skóry, które im miały służyć na obówie.

Owocem polowania było około trzysta funtów tłuszczu, którego miano użyć do fabrykacji świec.

Fabrykacja ta nie przedstawiała najmniejszych trudności. Wynikły z niej fabrykat nie był wprawdzie zupełnie doskonały, lecz zawsze użyteczny. Gdyby Cyrus Smith nie posiadał nic więcej prócz kwasu siarczanego, to zmięszawszy go z tłuszczem takim, jak np. tłuszcz fok i rozgrzawszy tę mięszaninę przy ogniu, mógł tym sposobem wydzielić z niej glycerynę, a następnie zapomocą kipiątka wydobyć z niej oleinę, margarynę i stearynę. Dla uproszczenia jednak tego procesu wolał przemydlać tłuszcz zapomocą wapna. W skutek tego otrzymał mydło wapienne, które pod wpływem kwasu siarczanego dawało się łatwo rozkładać, wapno osiadło na spodzie

jako siarczan, a kwasy tłuszczowe zostały uwolnione.

Z tych trzech kwasów, oleinowego, margarynowego i stearynowego, pierwszy będąc płynem został usunięty w skutek wyciśnienia. Dwa zaś pozostałe utworzyły substancję, z której miano lepić świece.

Cała operacja nie trwała dłużej jak dwadzieścia cztery godzin. Knoty sporządzono po kilku próbach z włókien roślinnych. Zamaczane zaś w owym płynie przemieniły się w prawdziwe świece stearynowe, ulepione ręką, którym prócz białości i politury nie brakowało nic więcej. Nie posiadały zapewne tych zalet co świece maczane w kwasie barwnym, które w miarę jak się palą nabierają pewnej szklistości, a wypalają się całe aż do najmniejszego kawałeczka. Cyrus Smith jednak sporządził parę pięknych szczypców. I tym sposobem świece te oddawały im w długie wieczory spędzane w Granitowym Pałacu znamienite usługi.

Przez cały ten miesiąc nie brakowało również roboty w nowem mieszkaniu, a mianowicie roboty stolarskiej. Ulepszyli narzędzia, które były nader pierwiastkowego kształtu i powiększyli zbiór takowych.

Między innemi sfabrykowano także nożyczki, któremi osadnicy nasi mogli wreszcie podstrzydz sobie włosy, a i brody swoje, jeżeli nie ogolić, to przynajmniej przystrzedz wedle upodobania. Harbert nie posiadał brody, Nab miał jej niewiele, lecz zato towarzysze ich posiadali zarost, który w zupełności usprawiedliwiał fabrykację nożyczek.

Sporządzenie piłki ręcznej kosztowało ich nieskończenie wiele trudu, ostatecznie jednak otrzymali instrument, którym przy pewnem natężeniu można było rznąć drzewo. Korzystając z niego powystrugiwali stoły, ławki, szafy, któremi umeblowali główne pokoje, wreszcie łóżka, których całą pościel stanowiły materace z ziół i trawy. Kuchnia z półkami, na których stały narzędzia z wypalonej gliny, i z piecem ceglanym wyglądała wybornie a Nab urzędował w niej z taką powagą, jakby w jakiem laboratorjum chemicznem.

Wkrótce jednak stolarka musiała ustąpić ciesielce. Nowy bowiem kanał odpływowy wydrążony miną, wymagał koniecznie dwóch mostów, z których jeden musiał być wystawionym na Wielkiej Tarasie, a drugi na samem wybrzeżu. Obecnie bowiem tak Tarasę jak i wybrzeże przerzynał potok, który trzeba było przebyć chcąc się dostać w północne okolice wyspy. Aby go zaś ominąć, trzeba było obchodzić daleko na zachód aż po za źródła Czerwonego Potoku. Najprostszą zatem rzeczą było wystawić na Tarasie i na wybrzeżu dwa mosty, dwadzieścia do dwudziestu pięciu stóp długie, składające się z kilku drzew ociosanych z gałęzi. Cała ta praca trwała tylko kilka dni. Z postawionych w ten sposób mostów skorzystali zaraz Nab z Pencroffem, udając się do owych ław z ostrygami, które odkryli byli wśród wzgórz nadbrzeżnych. Wzięli zaś ze sobą w tym celu rodzaj niekształtnego wózka, który miał zastąpić dawniejszą plecionkę zbyt niewygodną. Przywieźli ze sobą kilka tysięcy ostryg, które osiedliły się odrazu wśród skał tworzących naturalne ławy przy ujściu Dziękczynnej. Mięczaki te były wyborne i służyły za codzienne prawie danie.

Jak widzimy więc, wyspa Lincolna, jakkolwiek mała tylko jego cząstka znaną była osadnikom, zaspakajała jednak wszystkie ich potrzeby. Usprawiedliwioną więc była z ich strony nadzieja, że poznawszy najskrytsze jej zakątki, zwłaszcza całą ową część lesistą, ciągnącą się od Dziękczynnej aż do Zatoki Jaszczurowej, nowe odkryją w niej skarby.

Jeden tylo brak jeszcze dawał się czuć osadnikom naszym. Mieli podostatkiem żywności azotowej tudzież płodów roślinnych, które miały wpływ pierwszych złagodzić. Korzonki ze smoczaków wyfermentowane należycie dostarczały im napoju kwaskowatego, coś w rodzaju piwa daleko lepszego od czystej wody. Sfabrykowali nawet cukier, i to bez trzciny cukrowej i bez buraków, zbierając w naczynia ciecz, którą wydawały ze siebie drzewa należące do familji klonów, zwane przez botaników: *acer saccharinum*, rosnące we wszystkich krajach strefy umiarkowanej, a których wielką liczbę posiadała także wyspa. Z „monardów“ zebranych na królikarni przyrządzali wyborną herbatę. Wreszcie posiadali także poddostatkiem soli, która jest jedynem ciałem mineralnem wchodzącem w skład pożywienia.. Czegoż im niedostawało? Oto chleba!

Być może że później potrafiliby osadnicy zastąpić ten artykuł innym jakim równoważnikiem, np. mąką ze sago lub mączką z drzewa chlebowego, i w istocie wszelkie było prawdopodobieństwo — że owe lasy, ciągnące się na południe, między inne swe płody zaliczały i te szacowne drzewa, których jednak dotychczas nie napotkali jeszcze nigdzie.

Opatrzność jednak miała w tym względzie przyjść im wprost z pomocą, prawda że tylko w nieskończenie małej cząsteczce, lecz bądź co bądź Cyrus Smith z całym swym rozumem i całą przemyślnością nie zdołałby był nigdy wytworzyć tego, co Harbert pewnego dnia czystym przypadkiem znalazł w podszewce swej kamizelki, którą właśnie naprawiał.

Tego dnia — deszcz lał właśnie strumieniami — osadnicy nasi zgromadzeni byli w dużej sali Pałacu Granitowego, gdy nagle Harbert zawołał:

— Patrz pan, panie Cyrus. Oto ziarnko zboża!

I pokazał towarzyszom ziarno, jedyne ziarno, które przez dziurawą kieszeń kamizelki zalazło było za podszewkę.

Okoliczność tę wyjaśnia fakt, że Harbert, będąc jeszcze w Richmondzie, miał zwyczaj karmić kilka gołębi dzikich, grzywaczów, które mu darował Pencroff.

— Co, ziarno zboża? zapytał żywo inżynier.

— Tak, panie Cyrus, ale tylko jedno, jedyne!

— E! mój chłopcze, zawołał śmiejąc się Pencroff, oto byśmy z niem daleko doprowadzili, na honor! Cóżbyśmy poczęli z jednem ziarnkiem zboża?

— Co? będziemy z niego mieli chleb, odparł inżynier.

— Co, chleb? może ciastka, a może i torty! zaśmiał się marynarz. Ba, ba! Nie udławilibyśmy się ponoś nigdy tym chlebem, który by dało to ziarnko!

Harbert, nie przywiązując wielkiej wagi do swojego odkrycia, chciał już odrzucić ziarnko, gdy Cyrus Smith wziął je do ręki, przypatrzył mu się dokładnie, a przekonawszy się, że jest jeszcze w dobrym stanie, utkwił wzrok w marynarza i odezwał się spokojnie:

— Wiesz, Pencroffie, ile jedno ziarnko może zrodzić kłosów?

— Przypuszczam, że jeden kłos! odparł marynarz, zdziwiony tem zapytaniem.

— Dziesięć kłosów. A wiesz, Pencroffie, wiele jeden kłos może zrodzić ziarnek?

— Na honor, nie.

— W przecięciu ośmdziesiąt, rzekł Cyrus Smith. Otóż zasadziwszy to ziarnko, pierwszy plon z niego przyniósłby nam ośmset ziarn, drugi plon z tych ziarn zasadzonych przyniósłby sześćkroć czterdzieści tysięcy ziarn, trzeci plon pięćset dwanaście miljonów, czwarty plon przeszło czterysta miljardów ziarn. Taka jest proporcja.

Towarzysze Cyrusa słuchali go w milczeniu. Cyfry te zdumiewały ich, a jednak były to cyfry dokładne.

— Tak, przyjaciele moi, ciągnął dalej inżynier. Taka jest proporcja arytmetyczna w płodności natury. A czemże dopiero jest to rozmnażanie się ziarnka zboża, którego kłos jeden wydaje tylko ośmset ziarn, w porównaniu z jedną laską maku, która wydaje trzydzieści dwa tysiące ziarn, lub z laską tytoniu, która wydaje ich trzysta sześćdziesiąt tysięcy? Gdyby nie rozliczne przyczyny które je niszczą, rośliny te w kilku latach ogarnęłyby całą ziemię.

Inżynier jednak nie zakończył jeszcze na tem swej indagacji.

— A teraz powiedz mi, Pencroffie, ciągnął dalej, czy wiesz wiele czterysta miljardów ziarn wynosi ćwiartek zboża?

— Nie wiem, odparł marynarz, wiem tylko tyle, że jestem bydlę!

— Otóż, przeszło trzy miljony, licząc sto trzydzieści tysięcy ziarn na jedną ćwiartkę.

— Trzy miljony ćwiartek! zawołał Pencroff.

— Trzy miljony.

— W czterech latach?

— W czterech latach, odparł Cyrus Smith, a nawet tylko w dwóch latach, jeśli, jak sądzę po geograficznem położeniu naszej wyspy, będziemy mieli do roku dwa żniwa.

Na to Pencroff według swego zwyczaju nie znalazł lepszej odpowiedzi nad straszliwe „hurra!“

— Otóż zrobiłeś dziś, Harbercie, odkrycie niezmiernej dla nas wagi, dodał inżynier. Wszystko, przyjacielu mój, wszystko może się nam przydać w położeniu, w jakiem się znajdujemy. Proszę was, pamiętajcie o tem.

— Nie, panie Cyrus, nie zapomnimy o tem z pewnością, odparł Pencroff, a jeśli znajdę kiedy ziarnko tego tytoniu, co to się mnoży trzysta sześćdziesiąt tysięcy razy, to zapewniam pana, że go nie rzucę na wiatr! A teraz wiecie, przyjaciele, co nam wypada zrobić?

— Zasadzić to ziarnko, odparł Harbert.

— Tak jest, dodał Gedeon Spilett, i to z całą pieczołowitością, na jaką zasługuje, gdyż ziarnko to ukrywa w sobie przyszłe żniwo nasze.

— Oby tylko zeszło! zawołał marynarz.

— Zejdzie, odparł Cyrus Smith.

Był to dzień 20. czerwca, a zatem właśnie pora sposobna do zasadzenia tego jednego a tak drogocennego ziarnka. Zrazu chcieli go zasadzić w garnku napełnionym ziemią, po namyśle jednak postanowili zaufać zupełnie naturze i powierzyć je ziemi. Stało się to jeszcze tego samego dnia, a zbytecznem byłoby dodawać, że nie pominięto przytem żadnego środka mogącego zapewnić pomyślny plon.

Niebo rozjaśniło się nieco, a osadnicy nasi wydrapali się na samą górę Granitowego Pałacu. Tu obrali miejsce zakryte dobrze od wiatru a wystawione na pełne działanie południowych promieni słońca. Oczyścili to miejsce, wyplewli z niego troskliwie chwasty, skopali je nawet, ażeby wypłoszyć z niego robactwo i glisty, położyli na niem warstwę czarnej ziemi zmieszanej trochę z wapnem, ogrodzili je, poczem wtłoczyli ziarnko w wilgotny grunt.

Czy nie wydawało się tak, jak gdyby osadnicy nasi kładli kamień węgielny do przyszłej budowy? To przywiodło Pencroffowi na myśl ów dzień, kiedy to zapalił był jedną zapałkę, jaką wtedy posiadał, i trud, jaki kosztowała go ta operacja. Tym jednak razem była to rzecz o wiele większej wagi. W samej rzeczy bowiem, rozbitki nasi byliby zawsze tym lub owym sposobem przyszli w końcu do ognia, lecz żadna potęga ludzka nie zdołałaby im wrócić po raz drugi owego ziarnka zboża, gdyby nieszczęsnym jakim trafem miało zaginąć! (C. d. n.)

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

Tom II.

ROZDZIAŁ II.

W zapiskach z pierwszych dwu lat pożycia małżeńskiego państwa Zameckich nie wspomina pani Helena ani pośrednio ani bezpośrednio o p. Alfredzie Zgorzelskim. Zdaje się, że zapomniała o nim. Zjawia on się dopiero po tym przeciągu czasu, za granicą, nad jednem z jezior lombardzkich, gdzie p. Tadeusz z żoną zamieszkuje przez parę tygodni piękną willę. Poetyczne to miejsce pobytu nabywa dla pani Heleny większego wdzięku, z powodu zajmującej lektury, zastosowanej do otoczenia. Czytamy w zapiskach:

.... „Wyobrażam sobie, że Lucrezia Floriani jest autobjografią swojej autorki. Książka ta ma dla mnie szczególny urok, bohaterka jej przemawia mi do duszy, jak gdyby wyrażała własne swoje myśli i uczucia. Ileż jest prawdy w tych np. słowach: „Potęga miłości nie mierzy się zasługą ukochanego przedmiotu. Miłość żyje własnym swoim płomieniem, który zapala się bez względu na to, co nam mówi doświadczenie lub rozum. Co dzień widzimy istoty wzniosłe, spotykające się z niewdzięcznością i zdradą, podczas gdy dusze przewrotne i nędzne wywołują uczucia gwałtowne i trwałe. Ludzie dziwią się temu, bo nie umieją zbadać tajemniczego charakteru miłości, której każdy doświadcza, nie rozumiejąc jej wcale. Jest to przedmiot tak głęboki, że sama myśl o nim jest przerażającą, ale czy nie należałoby zbadać na serjo to, co zaledwie spostrzeżono pobieżnie? Czy nie możnaby studjować, analizować, zrozumieć i pojąć do pewnego stopnia to uczucie rozkoszne i straszne, największe, do jakiego człowiek jest zdolnym? Nikt mu się nie oprze, a jednak przybiera ono formy i pozory tak rozmaite, jak rozmaitemi są indywidualne właściwości ludzi. Czy nie możnaby uchwycić jego esencji metafizycznej, odkryć prawideł jego ideału, i następnie, wszedłszy w siebie, dociec, czyli się żywi miłość szlachetną i słuszną, lub też zgubną i szaloną w swojem łonie? Wszak można doświadczać wielkich wzruszeń i zdawać sobie z nich sprawę. Jest to nieszczęściem dla mnie, ale posiadam tę zdolność, i wśród największych burz w mojej młodości, myśl moja pożerała się sama, by widzieć jasno wśród wichrów i chmur, co ją ogarniały. Nie pojmuję nawet, by wśród namiętności, duch nasz mógł wytężać się w innym kierunku, jak tylko w tym jednym. Wiem, niestety, że wysilenie to jest bezskutecznem, i że im bardziej pragniemy widzieć dokładnie, co się w nas dzieje, tem bardziej wzrok nasz się zaciemnia, ale pochodzi to ztąd, że prawidło miłości nie jest jeszcze znane, i że nie umiano dotychczas ułożyć jej katechizmu. Przeczuwam wszakże, że znajduje on się w Ewanielji. Nie wiem, ale zdaje mi się, że Ewanielia nie wyraża dobrze wszystkiego, co Jezus mówił i myślał. Przysięgłabym, że nie był on tak nieświadomym miłości, jak utrzymują. Przypuszczam, że wiódł żywot dziewiczy, ale też tem lepiej uchwycił metafizyczną stronę miłości. Przyznaję, że był Bogiem, ale w jego wcieleniu widzę małżeństwo z materją, połączenie z kobietą, które nie zostawia mi żadnej wątpliwości co do myśli boskiej. Niechaj się tedy nikt nie śmieje ze mnie, jeżeli powiem, iż Jezus rozumiał miłość lepiej niż ktokolwiek; dosyć jest rozważyć jego postępowanie z Magdaleną, z Samarytanką, z Martą i Marją, jego przypowieść o robotnikach dwunastej godziny, tak wzniosłą i głęboką! Wszystko co czynił, co mówił i myślał, zmierza do tego, ażeby nam ukazać miłość jako większą w przyczynie swojej, niż w swoim przedmiocie, jako lekceważącą niedoskonałość istot, i tem potężniejszą i goretszą, im bardziej rodzaj ludzki jest winnym, słabym, i niegodnym takiej wspaniałomyślnej miłości. Miłość prawdziwa, jest to miłość chrześcijańska, zastosowana do jednej istoty i niejako w niej skoncentrowana.“ W tem miejscu, Salvator robi zarzut, że miłość jest uczuciem najbardziej egoistycznem, najmniej zgodnem z tą miłością, jakiej nauczał Chrystus, a Floriani woła: „Wasza to miłość jest taką, nędzni mężczyzni! Ale miłość, którą nas Bóg obdarzył, która z jego łona, czysta i płomienna, powinna była przejść w nasze łono, ta miłość, którą ja pojmuję, o której marzyłam, której szukałam i którą zdawało mi się nieraz, że znalazłam — niestety, na chwilkę! — miłość ta jest wiernem odbiciem owej, jaką Chrystus czuł i objawiał dla ludzi. Jest to refleks miłości boskiej, ulegający tym samym co ona prawidłom. Miłość ta jest spokojną, łagodną, sprawiedliwą, ze sprawiedliwymi. Dla grzeszników, staje się ona niespokojną, płomienną, gwałtowną, namiętną. Jeżeli widzisz małżonków kochających się w sposób spokojny, czuły i wierny, nazwij to przyjaźnią. Ale jeżeli, jako człowiek szlachetny i uczciwy, pokochasz namiętnie nędznicę, kobietę upadłą, bądź pewnym, że to jest miłość, i nie wstydź, się jej, bo Chrystus kochał w ten sposób tych, którzy go ukrzyżowali. Tak *ja kochałam* Tealda Soavi. Wiedziałam, że jest egoistą, próżnym, zarozumiałym, niewdzięcznym, ale szalałam za nim. Gdym się przekonała, że jest podłym, nikczemnym, przeklinałam go, ale *kochałam go ciągle*. Kochałam go tak mocno, że stałam się niezdolną kochać kogo innego. Dla zbrodniarza, nie mogłam kochać człowieka uczciwego....“

„*Tak ja kochałam Alfreda*, dodaje pani Helena do tego długiego wypisu z romansu pani Sand. Wiedziałam, że jest podłym, a poświęciłam mu wszystko. Później zdawało mi się, żem go zapomniała, ale gdy się zjawił, uczułam, że kocham go ciągle. Ach, i ja, jak Lucrezia Floriani, oddałam się szalonemu złudzeniu, że mogę być szczęśliwą z drugim. Pomyliłam się, jak ona. Święte to słowa: „Mężczyźni nie mogą nam poczytywać za zasługę heroizmu, jakiegośmy dały dowody dla drugich, owszem, poczytują go nam za zbrodnię. Im więcej umiałyśmy poświęcić, nimeśmy ich poznały, tem mniej ich zdaniem, zdolnemi jesteśmy do poświęcenia. „Tadeusz wie, że kochałam Alfreda, nie robił mi nigdy wyrzutów z tego powodu, ale wyrzut ten czuję w każdem jego spojrzeniu, w każdem jego słowie. Poniża on mię i depce pobłażaniem, przebaczeniem, stokroć nieznośniejszem od wyrzutów. Z kąd on ma prawo przebaczać mi cokolwiek?“

Od tego czasu, pani Helena w zapiskach swoich toczy potajemną walkę z mężem i wkrótce przychodzi do wniosku, że go nienawidzi. Coraz częściej wspomina o Alfredzie. Wyraz „poświęcenie“ odgrywa w tem wszystkiem wielką rolę. Pani Zamecka „poświęca się“ dla swoich obowiązków jako żona, i znajdujemy rachunek pana Tadeusza mocno obciążony z powodu, iż mu oszczędzono nieprzyjemności przyprawienia mu formalnych rogów. Byłoby to czemś zbyt zwykłem, powszedniem, i doprowadziłoby do rychłego, prozaicznego końca. Poświęcając się dla znienawidzonego męża, poświęca się pani Helena wszelako i dla kochanka. Alfred jest *un panier percé*, całe życie prześladuje go brak pieniędzy. Pani Zamecka z macierzyńską prawie troskliwością usiłuje ile możności naprawić tę winę losu. Znaczne sumy, przeznaczone na „szpilki“ dla bogatej dziedziczki Rymiszowa, idą tą drogą. Od czasu do czasu towarzyszy im westchnienie, czy nigdy już, nigdy nie będzie inaczej, i czy wszystkie poświęcenia pozostaną na zawsze niewynagrodzonemi? Tak płyną lata tęsknot i pragnień. Mąż staje się coraz bardziej znienawidzonym, Alfred traci coraz więcej pieniędzy. W braku gotówki, przyjaciółka ratuje go z kolizji swoim podpisem na wekslu. Wkrótce pokazuje się, że jak dawniej, tak i teraz podpis pani Heleny okazał się niedostatecznym, i p. Alfred podpisał obok niej, jej męża. „Prawidło miłości,“ czerpane z ewanielji objaśnionej przez panią Sand, zapewnia mu i w tym wypadku „pogardę wprawdzie, ale miłość niezmienną.“ Tymczasem suma niezapłacona rośnie, i przybiera zatrważające rozmiary. Dobrowolna szczodrość pana Tadeusza, obok bieżących potrzeb, nie wystarcza na opłacenie procentów — żona musi się brać na sposoby, ażeby dostać więcej pieniędzy. Pani Podwalska dostarcza parę razy pretekstu do tych zamachów na kieszeń mężowską, ale wszystko jest niedostatecznem, i okazuje się coraz konieczniejszą potrzeba „zrobienia czegoś,“ coby pozwoliło wybrnąć z kłopotu. Nie znajdujemy wszakże w zapiskach najmniejszej wskazówki, by się znalazł sposób na to. Alfred wśród tych ambarasów nie traci swobody umysłu ani fantazji, i dowiadujemy się z manuskryptów pani Heleny, że jest to przymiot, który go robi mimo wszelkich wad, szczególnie miłym. Znajdujemy tam dysertację o „porządnych ludziach,“ nieznośnie nudnych, i o tak zwanych „przyjemnych łobuzach,“ do których zaliczony jest p. Zgorzelski. Nieznacznie, epitet ten zajął miejsce ukochanego „łotra i nikczemnika,“ a równocześnie mąż nie nazywa się już Tadeuszem, ale „starym,“ *tout court*. Nowa ta terminologja nie

nastręcza wszelako formułki matematycznej, któraby pomogła rozwikłać interes z p. Bergerem, prowadzi ona tylko do wniosku, że „stary“ nie ma się nigdy dowiedzieć o niczem, albo pani Helena odbierze sobie życie.

(C. d. n.)

Piśmiennictwo polskie.

O wydaniach zbiorowych i najnowszej edycji pism Zygmunta Krasińskiego, kilka słów przez

ADAMA KULICZKOWSKIEGO.

Utwory i prace celniejszych pisarzów naszych obecnej epoki ukazują się od lat kilku i kilkunastu w zbiorach, bądź rzeczywiście zupełnych (a tych jest nader mało), bądź do zupełności pretensje roszczących. Nie będziemy wyliczali tutaj tych zbiorów; dodać jednak nie zawadzi, że z pomiędzy pisarzów, których prace w ten sposób wychodzą na widok publiczny, jedni zakończyli już i zawód literacki i żywot, drudzy żyją ale umilkli; jedyny tylko z tego grona J. I. Kraszewski z właściwą sobie genjalną zdolnością nie przestaje jak zawsze pracować na przeróżnych niwach piśmienniczego zawodu.

Dziś, gdy się już zamknął okres twórczego słowa w pieśni i zeszło z pola wielu innych pracowników pierwszorzędnych, takich jak Szajnocha, Libelt lub Kremer, wydawnictwa zbiorowe znakomitszych utworów ostatniej epoki nietylko przynieść mogą nieobliczone korzyści dla społeczeństwa, ale są także poniekąd wyrazem bieżącej chwili, odbiciem stanu społecznego i ducha czasu. Gdy się w grobach swoich pokładli ci, którzy żywem, podniosłem słowem budzić umieli ducha w narodzie, a nie pozostawili dziedziców swych myśli i swych pieśni, cóż dziwnego, że społeczeństwo, że naród tęskne oblicze zwraca ku zmarłym, że się pragnie nakarmić duchową puścizną swych duchowych szermierzy?... Ta jest dziś logiczna konieczność zbiorowych edycyj celniejszych naszych pisarzów. Wydawnictwa takie oddać mogą także, jak się rzekło, znamienite narodowej sprawie usługi, jeżeli będą tak uskutecznione, ażeby mogły być w rękach całego narodu, a nie tylko pewnych zamożniejszych klas społeczeńskich. Nieodbitym warunkiem jest zatem przystępna cena księgarska.

W krajach, gdzie oświata ogółu do wyższego niż u nas wzniosła się stopnia, gdzie potrzeba czytania i kształcenia się sięgnęła do najdalszych kończyn społeczeńskich, gdzie wieśniak bez biblji lub gazety obejść się nie potrafi, we Francji, Anglji i Niemczech, wydania ulubionych pisarzów narodowych dokonywają się na wielkie rozmiary, po kilkadziesiąt tysięcy egzemplarzów na raz, i dla nadzwyczaj niskiej, prawie bajecznie małej ceny przystępne są dla wszystkich. U nas książki, do niedawna jeszcze bardzo drogie, mogły się znajdować tylko w ręku zamożniejszych i to zamykało niejednemu drogę do czytania i kształcenia się w duchu narodowym. Dopiero w najnowszym czasie edycje zbiorowe zmieniły ten stosunek, rozrzucając pełnemi garściami zdobycze i prace ducha narodowego między łaknących. Do najtańszych zbiorów zaliczyć należy komedje Aleksandra hr. Fredry wydane w Warszawie nakładem Gebethnera i Wolffa, drukujące się staraniem A. J. O. Rogosza powieści Józefa Dzierzkowskiego i dokonaną świeżo nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta edycję pism Zygmunta Krasińskiego.

Przeglądając tę ostatnią, uczyniliśmy niejedno spostrzeżenie, które powszechnej radzibyśmy podać uwadze. Przytem niech nam wolno będzie przywieść kilka szczegółów o wspomnianem wydaniu, które pod względem typograficznym starannie jest wykonane.

Utwory Zygmunta przejrzał, jak się o tem dowiadujemy ze słów umieszczonych na tytule, p. J. Amborski i ułożył wszystkie porządkiem chronologicznym, czego w edycji F. A. Brockhausa nie przestrzegano. Oświadczyć musimy, że chronologiczne porządkowanie dzieł jest rzeczą w zbiorowych edycjach nie tak małej wagi, jak się na pozór wydaje i że u nas w tego rodzaju przedsiębiorstwach niestety nader rzadko na to się uważa. A przecież wiadomo, że podobnie jak w życiu społeczeńskiem i każdego człowieka poszczególnie, tak też i w życiu pisarza, w jego duchowej pracy bywa pewien rozwój, którego przeoczać się nie godzi, jeżeli pragniemy wyrobić sobie rzetelny i jedynie sprawiedliwy sąd o autorze. Indywidualne usposobienie pisarza przy mniejszem lub większem specjalnem uzdolnieniu, jego otoczenie, wrażenia, które odbiera, ciaśniejszy lub szerszy pogląd na stosunki, śród których się porusza, na których przebieg nieraz sam wpływa lub wpływowi temu podlega, to wszystko i tysiąc innych okoliczności rozwija się, zmienia, potęguje lub słabnie z biegiem czasu i nie pozostaje bez odbicia w utworach literackich. Nie obojętną jest tedy rzeczą chronologiczny układ dzieł w zbiorowych wydaniach. Tylko ściśle, wszelako w każdym danym wypadku rozumne przestrzeganie tego porządku ułatwi czytelnikom ujęcie i zrozumienie ogólnych dążności pisarza, objaśni wzajemny stosunek jego utworów, tudzież stanowisko każdego z nich wobec spółczesnej chwili.

Jeżeli to, cośmy dopiero wyłuszczyli, zastosowanie swe mniej lub więcej konieczne znaleść ma w ugrupowaniu prac każdego pisarza, o którym historja literatury z obowiązku swego mówić powinna, to cóż powiedzieć o utworach takiego myśliciela-poety jak Krasiński, którego każda dalsza kreacja w ścisłym i koniecznym zostaje związku z poprzedzającą, a uważana w oderwaniu od innych, sama dla siebie, mogłaby pojętą być jednostronnie, jeżeli nie całkiem fałszywie? Prawda, że każdy utwór ducha zwykł przemawiać sam za sobą; ale tacy pisarze jak autor Irydjona mają prawo żądania od czytającej społeczności, ażeby ich rozumiano i sądzono przedewszystkiem podług genezy ich twórczej roboty, a więc w związku z tem, co już jako konieczne podług siebie prawdy wypowiedzieli i na których się w dalszych swoich pracach, jako na podstawach opierają.

Lwowscy wydawcy pism Krasińskiego postanowili trzymać się chronologicznego porządku. Zasada ta ze wszech miar byłaby godną uznania, gdyby była konsekwentnie przestrzeganą. Wszelako zaznaczyć musimy, że nie wszędzie trzymano się obranego porządku. Jeżeli „Irydion“ wyszedł z druku w roku 1836, „Noc letnia“ w roku 1841, a „Pokusa,“ jak powiada Stan. Tarnowski, datuje się także z tego samego czasu, tj. z epoki między rokiem 1836 a 1840, nie możemy zrozumieć, dlaczego „Irydjon“ w wydaniu lwowskiem położony jest po „Nocy letniej“ i „Pokusie“!... Jest to usterek znaczny i razić będzie niepospolicie tego czytelnika, któryby zechciał wziąć na uwagę słowa wstępne Stanisława Tarnowskiego, zamieszczone na kilkudziesięciu stronicach pierwszego tomu tej edycji. Autor pomienionej przedmowy, klasyfikując podług siebie i innych utwory Zygmunta, powiada wyraźnie, że „Trzy myśli Ligenzy,“ „Noc letnia“ i „Pokusa“ należą do tego samego twórczego okresu poety, do okresu, któremu p. Tarnowski naznacza miejsce między „Irydjonem“ a „Przedświtem,“ a którego cechą, jak powiada, jest jakieś „chwilowe wstrząśnienie i zachwianie wszystkich pojęć,“ uwydatnionych przez poetę w jego poprzednich kreacjach, przedewszystkiem zaś w „Nieboskiej komedji“ i w „Irydjonie.“

Jeżeli to twierdzenie służyć będzie za podstawę do sądu o genezie i znaczeniu utworów Krasińskiego w ogóle i jeżeli sąd taki ma sobie wyrobić ktoś na podstawie jakiejś systematycznie dokonanej zbiorowej edycji, wówczas zaprawdę nie godziło się kłaść „Pokusy“ i „Nocy letniej“ przed „Irydjonem.“

W drobnych poezjach usiłowano także zachować porządek chronologiczny, o ile to się dało uczynić. Siedem utworów tej ostatniej kategorji, nie noszących wyraźnej daty, umieszczono zatem na samym końcu zbioru. Jest jeden wszakże pomiędzy tymi wierszami, „Koloseum.“ który mógłby znaleść inne miejsce, jeżeli autentyczną jest jego data z 18. lutego 1842 roku.

(Dok. nast.)

POGADANKI.

XXX.

Pesymistyczne moje przewidywania nie ziściły się na szczęście, i zjazd lekarzy i przyrodników znalazł u ogółu lwowskiego tyle udziału i zrozumienia, ile go być mogło wśród pory kwaśno-ogórkowej. Jedna tylko iluminacja zrobiła niezaprzeczone *fiasko,* z powodu iż pomyślano o niej za późno. Natomiast wystąpił godnie w imieniu gminy stołecznej, prezydent miasta urządzając przyjęcie u siebie na cześć gości tak rzadkich i znakomitych. Dla niegalicyjskich członków zjazdu, było to nowością widzieć zgromadzonych przy tej sposobności dygnitarzy urzędowych i wojskowych austrjackich. Nie jeden wzdychał, myśląc, jak pomyślnie rozwijałaby się jego dzielnica, gdyby jej tak sprzyjały stosunki, jak nam. Westchnienia tego rodzaju wypadają zawsze na niekorzyść Galicji. Ile razy zdarzy nam się pochwalić przed Poznańczykami lub Warszawianami, temi naszemi „sprzyjającemi stosunkami,“ tyle razy mimowoli każdemu przychodzi na myśl pytanie, czy Galicja korzysta jakby należało z tego, czem ją obdarzył los, a odpowiedź na to pytanie wypada niestety zawsze przecząco. Jest wszakże nieco przesady w tych niekorzystnych sądach o naszym kraju. Nie ma wątpliwości, że Królestwo albo Litwa umiałyby lepiej od Galicji wyzyskać warunki tak pomyślne, ale Królestwo i Litwa nie otrzymały w spadku po śp. Rzeczypospolitej tyle wad organicznych, co Galicja, i nadto, nie są wystawione na taki napływ żywiołu obcego, materjalnie i intelektualnie potężnego. Łatwiejsza w tej mierze sprawa z Moskalem, niż z Niemcem. Jeżeli mimo to po stu latach Galicja jest więcej polską niż była nią w chwili rozbioru, to sąd o niej powinienby nie być bardzo ostrym.

Co się tyczy Lwowa, sprawia on zwłaszcza

na przybywających z Warszawy nie najlepsze wrażenie. Pewien koroniarz mówił mi, że znalazł u nas tylko jedną ulicę na wskróś polską, a tą jest — Zarwanica, czyli, mówiąc oficjalnym językiem, ulica Serbska. Paradoks ten ma nieco słuszności za sobą. Nie radzę wprawdzie nikomu, by szedł w dzień przekonywać się o tem, ale rano, nim się rozpocznie ruch handlowy, warto pójść i zobaczyć, że jest to w istocie jedyna ulica, w której nie ma szyldów niemieckich na sklepach, są tylko polskie, a tu i ówdzie, hebrejskie. Kupcy żydowscy, którzy tam czatują na przechodniów, porywają ich gwałtem, i ciągnąc do swoich sklepów i kramów, nie zaczynają z nimi rozmowy po niemiecku. Pochodzi to ztąd, iż nikt nie chodzi tam nic kupować dobrowolnie, oprócz nieprzyjaciółek „walki ekonomicznej,“ Polek. Nikt jeszcze nie widział Niemki na Zarwanicy. Na innych ulicach, zdaniem mojego koroniarza, język niemiecki daje się słyszeć nadto często.

Najfatalniej zaprezentowało się nasze miasto swoim gościom pod względem gastronomicznym. Pierwszy zaraz wspólny obiad w sali sejmowej wypadł tak okropnie, że na drugi dzień nie można było już znaleść miłośników towarzyskości dość rezolutnych, by się nie wahali zasiąść do takiej biesiady. Dla statystyków jest to zagadką, jakim sposobem restaurator potrafił zebrać na prędce tyle ochłapów wołowiny i tyle nie świeżych kurcząt, ile ich było potrzeba do zepsucia kilkuset żołądków? Ściśle biorąc, była to większa sztuka, niż kupić dobrego mięsa w jatkach i dostać świeżych kurcząt o tej porze roku — ale Krakowianie mianowicie, zamiast uznać zasługę, śpiewają hymny na cześć swojego Heurtego i nielitościwie pomiatają kuchniami lwowskiemi.

* * *

Trzech rzeczy potrzeba nam koniecznie nim będziemy mogli powiedzieć, że mieszkamy w mieście: dobrej restauracji, łazienek, i muzyki miejskiej. Towarzystwo przemysłowe marzy o założeniu łazienek, i zbiera podpisy na udziały. O muzyce także mówi się od czasu do czasu, zwłaszcza ile razy nie dopisują kapele wojskowe. Chodzi właśnie tylko o kupienie instrumentów i o mianowanie dobrego kapelmistrza, muzyka bowiem utrzymałaby się sama. Kapele wojskowe zbierają wcale okrągłe sumy za swoje produkcje prywatne i często tak są rozrywane, że nie podołałyby wymaganiom, gdyby ich było dwa razy więcej. Kto wie, czy i w tej sprawie, równie jak w sprawie łazienek, nie zaradzi najłatwiej ogólnej potrzebie jaki przedsiębiorca prywatny. Co się tyczy restauracji, tej chyba już nigdy nie będziemy mieli, napisano bowiem w księdze przeznaczeń, że Lwów ma mieć tylko dobre cukiernie, a każda traktyjernia ma tu być dobra tylko przez trzy dni po swojem otwarciu. Nawet hotelu zupełnie po europejsku urządzonego odmawia nam nieubłagane fatum.

* * *

W programie zjazdu lekarzy i przyrodników, opuszczono przez dziwne niedopatrzenie kilka nader ważnych rzeczy; a mianowicie: zwidzenie szpitalu powszechnego, zwidzenie zakładu obłąkanych, i zwidzenie wystawy obrazów. Ma się rozumieć, iż każdy uczestnik zjazdu mógł sam uzupełnić program w tej mierze, ale wypadało przecież i komitetowi pomyśleć o tem. Nie od rzeczy byłoby także spowodowanie uchwały zjazdu, dotyczącej utworzenia wydziału lekarskiego na uniwersytecie lwowskim. W takich sprawach jak ta, potrzeba pukać często i głośno nim otworzą, bo jakoś nie bardzo chcą otwierać. Czerniowce wypukały sobie cały uniwersytet, któremu od jesieni rb. niczego już nie będzie brakować, oprócz słuchaczy. Są profesorowie — jest nawet katedra „języków słowiańskich“ — jest bibljoteka, składająca się z 12.000 tomów, zakupiona po jakimś zmarłym uczonym niemieckim. Wydział lekarski we Lwowie miałby oprócz tego wszystkiego jeszcze i słuchaczy, ale jakoś kwestja jego bytu idzie jak z kamienia. Powinienby był pamiętać o nim komitet zjazdu.

Jan Lam.

STANOWISKO FILOZOFJI
KAROLA LIBELTA,
i stosunek jego do innych współczesnych filozofów polskich.

Napisał

DR. A. MOLICKI.

(Ciąg dalszy.)

Dla tego to pojęcia filozoficzne Libelta niezgodne są z pojęciami kościoła; dla tego to polemika z nim duchowieństwa katolickiego*). Chociaż Libelt w jednym z dalszych punktów tyczących się charakteru przyszłej filozofji polskiej mówi, że religja Chrystusa, a bliżej katolicka, zmniejszająca samowładztwo rozumu, jest religją słowiańską (!) — „wszakże, powiada, będzie to religja w zgodzie z filozofją, a więc religja postępu, tem samem różna od dotychczasowego na opokę stwardłego katolicyzmu“.**)

To co dotychczas powiedziałem o piętnie religijnem w naszej filozofji, przedstawia więcej jego stronę zewnętrzną, że tak powiem ciało tej cechy. Jest jednak jeszcze strona wewnętrzna, wiejący duch czasu w niej zawarty. Jak cecha narodowa tak cecha religijna zostawała pod jednakowymi wpływami z góry. Jak tam, tak tu misja jest jej charakterem. Tam, przygotowanie naszego narodu i reszty Słowian do odrodzenia się w żywocie społecznym, politycznym; tu, przygotowanie go i całej ludzkości do odrodzenia się w żywocie duchowym, wiekuistym — oto jej charakter.

We wszystkich pisarzach z tego okresu znajdzie się studja lub myśli poświęcone duchowemu żywotowi człowieczeństwa i jego przyszłości. A jeżeli i obcy mówią o odrodzeniu się ludzkości w duchu, to nasi twierdzą i dowodzą że spełni się to za pośrednictwem umęczonej Polski. Królestwo Boże na ziemi ma wejść przez naród umęczony i zabity politycznie. Z niem łączą nadzieję odrodzenia się Polski w bycie państwowym. A ileż to prac było w tym rodzaju, i jakże związek cechy religijnej ściśle się tu łączy z cechą narodową!

Zwykle pisarze tego kierunku, studjując dzieje ludzkości, dzielą je na trzy części. Dwie mówią minęły, pierwsza do, druga po Chrystusie — trzecia nadchodzi teraz: Królestwa Bożego na ziemi. Znajdzie się tu ciągłe jego nawoływanie; ciągle myśl zwróconą ku niemu, głęboką tęsknotę za niem, i pieszczenie się myślą jego. I jeżeli pierwotnie wychodziły w tym rodzaju dzieła w charakterze mistycznym, [1]) później zajęto się tem poważniej, tak, że niedawno wyszło dzieło z tendencją ściśle filozoficzną, acz bardzo excentryczne i pod względem firmy nadzwyczaj niesmaczne [2]). Dzieło to świadczy jednak, że nie ucichła wcale ta myśl, jakby się na pozór zdawało; lecz przeciwnie rośnie i mężnieje, by dojrzeć z czasem do końca. Tyszyński np. uważa, że przyszłość ludzkości, w jaką wchodzimy, ma być co do ciała połączeniem się narodów przez miłość, i ma zapanować jedność i zgoda, a co do ducha ma to być jeden pasterz i jedna owczarnia [3]). Gołuchowski na miłości buduje cały swój system. Jest ona u niego tem, czem myśl i wyobraźnia u innych. Miłość, mówi on, rozwiązuje wszystkie palące kwestje ludzkości, jej teraźniejszość i jej przyszłość [4]). Supiński zaś mówiąc o siłach rzutu w przeszłości, powiada, że w starożytności prawo było wiarą, a wiara była jedynem prawem. „Ten prąd umysłowo-religijnego rozwoju, mówi dalej, był jedyną siłą istniejącą po za towarzystwem, siłą działającą na nie z zewnątrz, zatem mogącą na wstępie stanąć w miejscu przyrodzonej siły rozkładu. Prąd religijny trafił w naturę człowieka, on przeto pozostanie na zawsze spółeczności ludzkiej zarzewiem [5]),“ „Jeżeli nas poznaki nie mylą mówi wreszcie Libelt, a wskazują na nie zewsząd mężowie, przenikający nas rozumem i natchnieniem, to nowa idea się rodzi i wstępuje w świat idea wolności, równości i braterstwa ludów, przynosząca jak idea chrześcjańska dobrą dla nich nowinę, a będąca zapowiedzianem bo błaganem w powszechnej modlitwie wszystkich chrześcijan,

---

*) Zobacz „Odpowiedź jednego z księży dekanatu Krobskiego P. Dr. K. Libeltowi na jego uwagi, dotyczące stosunku duchowieństwa do obywatelstwa.“ Poznań 1869.

**) Libelt: „Filozofja i Krytyka“ 1845, str. 106. Luźnych tych zdań trudno pogodzić nie wiedząc, co powodowało Libelta do uznania religji katolickiej „słowiańską“, która to słowiańska ma być przecież różna od dzisiejszego „na opokę stwardłego katolicyzmu“. Oto Libelt dla tego religję katolicką nazwał słowiańską, że ona odrzuca samowładztwo rozumu, co usiłował przeprowadzić i on w swojej Filozofji i Krytyce, a to w celu przyjęcia innego pierwiastku dla filozofji, pierwiastku ludowego. Że zaś ten jest także zasadą religji katolickiej (owo działanie dwóch światów na siebie), ztąd katolicyzm wydał się Libeltowi zrosłym z duchem Słowian, a raczej wyrosłym z niego, a więc religją słowiańską. A że ta ma być różną, to dla tego, bo Libelt żąda reformy w katolicyzmie, odpowiedniej do ducha czasu i postępu nauki. — Tym sposobem tłumaczy się owa sprzeczność w powyższem zdaniu.

Jakoż w wydaniu drugiem z r. 1874 robi Libelt w niem poprawkę. Mianowicie powiada tylko, że będzie to religja postępowa w zgodzie z filozofją (str. 89). Poczem w odnośniku dodaje objaśnienie w sposób jak mówiliśmy. „Jeżeli się mówi o postępowej religji, powiada on, o takiej, któraby była w zgodzie z filozofją, nie może się ten postęp rozciągać do tego, co samą iściznę wyznania stanowi, a więc ani do dogmatów, ani do sakramentów, ale wpłynąć tylko może na obrządki i ceremonje zewnętrznego nabożeństwa, oraz na pojęcia i wyobrażenia, które z rozwojem nauk nie mogą być w sprzeczności. Nie ostanie się owe „sta sol“ przed systemem Kopernika, ani genezis Mojżeszowa przed badaniami geologji i archeologji. W obliczu astronomji ziemia nasza stała się maluczka w gronie nieskończonych słońc i światów, i teologja jej na piedestalu jedynego i centralnego punktu stworzenia nie utrzyma. Wedle tego, nie jedno wyrażenie pisma św. trzeba brać w symbolicznem, a nie rzeczywistem znaczeniu, aby pogodzić wymagania nauki z wyobrażeniami wiary (str. 91).“

1) Cieszkowskiego „Ojcze Nasz“ Paryż 1848. zobacz str. 200, 201, 270.

2) W. Stefański: „Szkoła o Królestwie Bożem.“ Drezno 1870.

3) Tyszyński: „Pierwsze zasady krytyki powszechnej“ Warszawa 1870. T. II, str. 215 i następne.

4) Gołuchowski: „Dumania“ Wilno 1861 T. II, str.

5) Supiński: „Myśl ogólna fizjologji powszechnej“. Lwów 1860 str. 200.

królestwem Bożem na ziemi *).“ Wszelako, mówi dalej, idea wciela się nie w pierwszy lepszy, ale w odpowiedni sobie materjał. Idea chrześcjańska przypadała do ducha i usposobienia szczepu germańskiego, i dla tego ludy germańskie stały się jej piastunem. Podobnie Polska przedstawia takie powinowactwo ducha swego z ideą wolności, równości i braterstwa ludów.

„Wszakże nigdzie indziej nie istniała taka złota wolność, jak w Polsce. Nigdzie nie było tak wrodzonego pojęcia równości i braterstwa, które przeszło w zwyczaj i obyczaj, w prawo i instytucje kraju. Wadą jedynie było i do upadku przyprowadzić musiało, że te dobra społeczne rozciągały się tylko na jeden stan uprzywilejowany, a nie sięgały do szerokich warstw ujarzmionego ludu, w którym przecież jako na rozległej podstawie, spoczywa siła i potęga narodu.

„Dobra owe duchowe, acz tylko na stan panujący ograniczone, miały przecież tak potężną siłę assimilacyjną, że nie zaborem i mieczem ale dobrowolnem przystąpieniem sąsiednich narodowości i krajów Polska urosła w granice i potęgę. Litwa z nią się połączyła, Prusy się jej z dobrej woli poddały, a ziemie ruskie wiekopomną unją lubelską zlały się z nią w jeden naród, w jedną wspólną ojczyznę.

„Gdzież podobny przykład w dziejach innych narodów poświetla? Nie jest że to prognostykiem przyszłej, międzynarodowej unji wszelkich narodowości i wszelkich organizacyj politycznych? — prognostykiem królestwa niebieskiego na ziemi, a więc ustankiem wojen, a zacztkiem panowania wiecznego pokoju?

„Wszystko zatem mówi, że Polska, która przelewała krew za Europę, staczając na jej kresach nieustające boje z dziczą Tatarów i Mongołów; która oswobodziła Wiedeń i chrześcjaństwo od nawału wyznawców koranu; która walczyła obok Francji za idee wolności i wyzwolenia, jakie rewolucja francuska światu ogłosiła; która chwilę ostatecznego rozbioru poprzedziła wiekopomnem, jak na owe czasy dziełem: konstytucją trzeciego maja; która na chorągwiach swoich zapisała pamiętny napis: „za naszą i za waszą wolność“ — że ta Polska powołaną jest za przedstawicielkę idei wolności, równości i braterstwa ludów, idei chrześcjańskiej polityki międzynarodowej, za którą obecnie ponosi męczeństwo i śmierć polityczną**).

„Jeżeli tak jest, jeżeli naród nasz obecnie spełnia rzeczywiście ofiarę za odkupienie idei narodowej, idei zbratania się ludów na zasadzie narodowości rozwiniętych, natenczas po umęczeniu na drzewie krzyża nastąpić musi i nastąpi jego zmartwychpowstanie. A ten sam lud, który dziś sprawuje rolę kata i oprawcy, przejrzy i nawróci się, bo nie zmarnieje nigdy narodów obcowanie, a jak zawsze wydawało, tak i tu z czasem wydać musi owoce***).“

Oto ostatnie słowa Libelta, jako filozofa narodowego i religijnego! Oto jak silnie połączone są te cechy naszej fiilozofji, i jak szczególnie w Libelcie znajdują wybitny swój charakter.

Pominę tu wykład innych pojęć, które można odnieść także do cechy religijnej, jak pojęcia istoty Boga i nieśmiertelności duszy. Wiemy w ogóle, że wszyscy nasi filozofowie (prócz najnowszych ze szkoły pozytywnej) pojmują ducha jako osobę — jest to ich wspólne znamię. Wszelako pojęcia te co do szczegółu samej istoty rzeczy są bardzo różne. Ci, którzy stoją na stanowisku katolickiem, przyjmują je w znaczeniu dogmatycznem; ci zaś którzy stoją na racjonalnem, dają rozmaite określenia, oparte zwykle na zasadach ich systematów, często najdziwaczniejsze[1]), nie mówiąc o pozytywistach, że materjalne[2]). Wszystkie te nie zgadzają się, rozumie się, z pojęciami kościoła, i tyle tylko o nich możemy tutaj powiedzieć. Ważność bowiem przedmiotu nie pozwala go traktować lekko — ramy zaś naszej rozprawy są bardzo szczupłe — ograniczyć się zatem musimy na tem, cośmy powiedzieli.

Pozostaje nam teraz przejść do cechy ostatniej, by uzupełnić rozbiór stosunku naszego autora do innych spółczesnych filozofów polskich.

Pamiętamy dobrze, że cecha rzeczywistości powstała w skutek wręcz przeciwnych rezultatów ówczesnej filozofji. Nasi uczeni nigdy nie mieli pociągu do subtelności filozofji niemieckiej. Począwszy od Jana Śniadeckiego, zawziętego przeciwnika Kanta i Kołłątaja, sławnego reformatora politycznego, niechęć ta trwała ciągle aż do Mochnackiego, Mickiewicza i Kraszewskiego. Naturalny wstręt do subtelnostek niemieckich był tak wielkim, że nie potrafiły go przekonać żadne perswazje i zachwalania Szaniawskiego, Jarońskiego, Jankowskiego i innych. Dopiero z wystąpieniem Dr. Kremera, łamiącego trudności i formy i treści[3]), zmieniać się poczyna opinja.

Mimo to jednak, oświecona nasza publiczność nigdy nie mogła się przekonać do filozofji niemieckiej; zawsze w niej widziano oderwany idealizm[4]). To też gdy nakoniec w kołach filozofów przyjęła się filozofja niemiecka, i pomału zaczęto w niej smakować, trzeba było nie lada odwagi, aby wystąpić przeciwko niej, i śmiało domagać się innej, opartej na rzeczywistości. Dank pod tym względem należy się uczonemu krytykowi Alex. Tyszyńskiemu, który pierwszy wyrzekł (w r. 1841 w Bibliot. Warszaw.), że dojście do ostatecznej prawdy jest udziałem Słowian, a bliżej nas Polaków — następnie zażądał teorji rzeczywistości. „Nie ukaże się stałe dobro i szczęście w bycie ludzkości, mówi on, aż się nie ukaże pierwej poznanie ich, lub jaśniej, nie przyjdzie i nie objawi się pierwej wśród ludzi byt prawdy w rzeczywistości, aż się nie ukształci pierwej teorja rzeczywistości[5])“. Wprawdzie co do owej rzeczywistości już przed tem pisali inni, między którymi Libelt; ale ich pojęcia są tak niejasne, tak ogólne, że pierwszeństwo należy oddać Tyszyńskiemu[1]). Co on mówi, rozumieć łatwo, jest wyraźnem — co mówią inni jest ciemnem, jest więcej jakimś nieoznaczonym intuicyjnym objawem, którego treści domyślać się trzeba. Najlepiej będzie gdy przytoczymy niektóre co do tego ustępy.

„Tylko taka filozofja ma przyszłość i życie — mówi nieznany autor[2]) której treścią, stanowiskiem i charakterystyką jest twórczość, bo ta filozofja tylko rozwiązuje żywotne zadanie czasu, zadanie skojarzenia świata myśli i świata czynu.... Pojęcie twórczości jest żywiołem filozofji polskiej i innego żywiołu filozofja naszego narodu mieć nie może i mieć nie będzie. Filozofja w Polsce nie pokaże się oderwaną od żywota, nie będzie martwą abstrakcją, lecz będzie podwaliną bytu społecznego“. Jeżeli filozofją nieoderwaną od życia podobało się autorowi nazwać twórczą, to co innego, ale bez tego kto proszę, zrozumie, co to jest filozofja twórcza?

Libelt traktując tę kwestję podnosi dwa stronnictwa filozofów: rozumujących mistyków i na filozofji niemieckiej ukształconych, które jako narodowe, uważa za przejście do filozofji słowiańskiej. Po ich dopiero ożenku, mówi on, tj. po ożenku tego. co już ludzkość wyrobiła, i tego, co szczep słowiański, a w szczególności polski, jako zapłodek nowego postępu ducha przechował, i przez przeczucie i mistycyzm do wiedzy doprowadził, rozwiną się także do filozoficznego pojęcia dzisiejsze żywotne kwestje osobowości Boga i nieśmiertelności duszy[3]). Tym zapłodkiem zaś jak wiemy, jest wiara w ciągłe działanie świata niewidomego na widomy, będąca u ludu. Odtąd też, mówi Libelt, filozofja powinna być popularna, tj. ludowa (!) kojarząc się z myślą bożą, która jest w ludzie i rozwijając takową przez czyn. Od czynu, od wielkiego czynu zacząć musi filozofja słowiańska[4]).

„Filozofja słowiańska, mówi nadto, nie będzie dalszym ciągiem filozofji niemieckiej, co już wedle narodowych pierwiastków byłoby niepodobnem, ale będzie przerzuceniem się ze stanowiska niemieckiego na stanowisko zupełnie inne — a to przerzucenie nastąpi w skutek koniecznego postępu ducha.

„Będzie to filozofja postępu, nieprzyjaciółka wszelkiej stagnacji, pociągająca przechodem swoim ociężałych, a tych co chwytają za koła jej potężnego, toczącego się naprzód rydwanu, aby go zatrzymać lub wstecz cofnąć — powalająca o ziemię i gruchocąca na miazgę. Będzie to filozofja żywota i czynu, a zatem rzeczywista zatracicielka zastarzałych przesądów, wszelkich pleśni czasu i blichtru, utrzymującego się dotąd sztucznym i fałszywym żywotem.

„Drugą rozległą i praktyczną stroną nowe filozofji w nieskończone następstwa płodnej, będzie skoncentrowanie ducha w jednostce, bo inaczej żywot jego jest niepodobnym. Filozofja pod tym względem będzie nieustanną inkarnacją myśli, nieustannem poczynaniem z ducha.

***) Libelt: „Wcielające się idee czasu.“ Kraków 1869, str. 16—17; mówi jeszcze o tem i w wielu innych miejscach, np. Pisma Pomniej. T. IV, str. 197, System Umnictwa T. I, str. 178; T. II, str. 221.

*) Podobnie utrzymywał, jak wiemy, Tyszyński, Cieszkowski i Trentowski — co do tego ostatniego, to zobacz jego „Stosunek filozofji do teologji“ w „Roku“ 1843, T. I, str. 76, gdzie tę myśl rozwija.

**) Libelt: tamże str. 18—19.

*) Zobacz np. Libelta System Umnictwa 1857 II. 307, co do zrodzenia się Trójcy Boga; II, 313 co do pojęcia trzeciej osoby Trójcy św.; 321—322 co do pojęcia samej trójcy Boskiej. Zobacz też jego Estetykę I. 321 gdzie mówi, że „kluczem psychologji będzie zawsze chemja organiczna“ (!), a czego dowodem ma być wpływ potraw i dyety na rozwijanie naczelnych władz ducha.

**) Zobacz np. dzieło p. Levittoux Zarys filozofj-Natury. Warszawa 1869 str. 133—139, gdzie mówi o istocie duszy i jej nieśmiertelności.

***) Zobacz co do tego rozprawę Trentowskiego p. t. Hegel i Kremer, w czasopiśmie krakowskiem „Na Dziś“ T. I, str. 129 i następ.

*) Tak np. H. Rzewuski, znany autor Listopada, utrzymywał, że filozofja wtedy tylko może mieć wartość, gdy rezultaty jej będą dodatnie dla życia, i gdy się oprze na gruncie narodowym. — Zobacz jego Pisma wyd. w Petersburgu 1851. T. I, str. 1.

**) Tyszyński: Początki filozofji krajowej w Bibl. Warsz. w r. 1850. T. IV, str. 280—281; albo Rozbiory i krytyki T. I, str. 131.

1) Bliższe co do tego poglądy rozwinął on w drugim tomie dzieła: Pierwsze zasady krytyki powszechnej.

2) Myśl o przyszłości filozofji przez D... w „Roku“ 1845, zesz. IV, str. 14—15.

3) Libelt: Filozofja i Krytyka 1845, str. 296 297.

4) Libelt: tamże str. 106, albo w „Roku“ 1844 X. II. Czynem tym jak chce Libelt, ma być właśnie stanowisko jego filozofji, o czem będzie w dalszym ciągu.

„Trzecia najwyższa praktyczna strona tej filozofji że jest filozofją wychodzącą z siebie do pojawu — że jest twórczą, działającą — że jest filozofją czynu*).“

Jeżeli filozofja rzeczywistości Libelta ma stać na zupełnie innem stanowisku niż dotąd, to pomijając to, jakiemby ono być miało, jest to bardzo zrozumiałem, i każdy może się na to zgodzić. Ale coby znaczyć miało owe skoncentrowanie ducha, owa inkarnacja i nieustanne poczynanie — przyznamy się trudno rozumieć, bo można bardzo dowolnie tłómaczyć. A jeżeli główną stroną tej filozofji jest wychodzenie z siebie do pojawu, i to ma być owym wielkim czynem, to pytamy, któraż filozofja taką nie jest? Taka filozofja czynu jest każda, choćby najwięcej oderwana.

Otóż, jak powiedziałem, pojęcia niektórych filozofów, jak Trentowskiego, Libelta, co do cechy rzeczywistości są niejasne. Nie ulega kwestji, że one powstały także pod wpływem ducha czasu; być może też dla tego tak trudno je zrozumieć. Właśnie jako takie różnią się bardzo od jasnych i zrozumiałych pojęć Tyszyńskiego.

Tym sposobem oznaczyliśmy stosunek Libelta do innych spółczesnych filozofów polskich. Tu jednak uwzględnialiśmy przeważnie filozofów starszej generacji. Ponieważ jednak Libelt często jest zaczepiany, wypada więc choć w ogóle oznaczyć i do pozostałych jego stosunek.

Z pomiędzy tych zasługuje głównie na uwagę Niemirycz, Struve, Ochorowicz i Levittoux. Pierwszy z nich swojemi Badaniami filozoficznemi tajemnicy życia nie zrobił prawie żadnego wrażenia — krytyka wyraziła się o nich, jako o pracy mistycznej, i na tem się skończyło. Co do nas, powyżej już o nim mówiliśmy. Pozostali zajmują inne stanowisko. Dr. Struve, zwolennik tak zwanej szkoły idealno-realnej; Ochorowicz zaś i Levittoux pozytywiści, acz nie we wszystkiem ze sobą zgodni, obudzili ruch filozoficzny i polemikę trwającą ciągle. Pierwszy z nich tj. Dr. Struve, stojąc na gruncie historyczno-krytycznym usiłuje pogodzić wszelkie dotychczasowe kierunki, o ile one mają w naturze ludzkiej rzeczywiste swoje uprawnienie. Tak dobrze więc uprawnione wymagania racjonalizmu, jak materjalizmu i mistycyzmu powinny być uwzględnione. Na tem właśnie opiera Dr. Struve całą teorję poznania i zasadę przyszłego rozwoju filozofji. I dziwna, że gdy p. Ochorowicz zgadza się na określenie poznania przez Dr. Struve, które sam przytacza, nie zgadza się na powyższą jego zasadę, i uważa taką filozofję za nieuzasadnioną. „Dogodzić wszechstronnym potrzebom natury ludzkiej, jak się wyraża prof. Struve, mówi p. Ochorowicz, zadowolnić od razu i mistyczne i materjalistyczne skłonności ludzkiej duszy, jest to przedewszystkiem zaprzeć się wszelkiej ściśle naukowej filozoficznej metody. Albo filozofja jest nauką, a wtedy nie może uwzględniać mistycznych skłonności duszy ludzkiej (!) — albo nią nie jest, a w takim razie nie może zaspokoić prawdziwie naukowych potrzeb duszy**).“ Poczem przytacza p. Ochorowicz następujący ustęp Dr. Struve, z jego mowy o charakterystycznych cechach filozofji, mianej na akcie uroczystym w uniwersytecie warszawskim: „Poznanie jest procesem, wypływającym z wzajemnego działania i ciągłego wzajemnego uzupełniania się wszystkich władz umysłowych człowieka; dla tego też w żaden sposób nie można rozprawiać o poznaniach czystego rozumu niezależących od doświadczenia, ani też o poznaniach doświadczalnych, wolnych od wszelkiego wpływu ze strony przyrodzonych skłonności i praw rozumu“. Jeżeli tedy p. Ochorowicz zgadza się na powyższy ustęp*), gdzie jest mowa o wszystkich władzach i przyrodzonych skłonnościach, to dziwi nas, dla czego się nie zgadza na powyższą zasadę, gdy przecież kierunek mistyczny ma za podstawę także jedną z naszych władz duchowych, a mistycyzm jest przyrodzoną skłonnością człowieka, i to tem większą, im stan ten jest bliższy natury, czyli swej pierworodnej przyrodzonej treści.

*) Libelt: tamże str. 112, 124—126, albo w „Roku“ 1844. X, 16, 25—27.

**) Ochorowicz: Wstęp i Pogląd ogólny na filozofję pozytywną. Warszawa 1872 w Bibliot. Pozyt. zesz. I. str. 60—61.

Otóż na podstawie tej polemiki, z której zdaje mi się, p. Ochorowicz zwycięzko wyjść nie może, okazuje się nam stosunek Libelta do obu tych panów. Mianowicie, kiedy Struve przyznaje filozofji Libelta wielki postęp w skutek rozwinięcia na podstawie wyobraźni wspaniałego systemu w formie rzeczywistych dotykalnych kształtów świata**) — Ochorowicz wywody Libelta na takiej podstawie, uważa co najwięcej za dowcipne***). Stanowisko jego jak i Dra. Levittoux będąc zupełnie różnem od stanowiska Libelta, w zasadzie też wyłącza ich pojęcia. Libelt stoi na rozdrożu między idealizmem a realizmem, i to nie tylko co do zasad i pojęć, ale i co do metody. Tymczasem Ochorowicz i Levittoux tak w zasadach swych i pojęciach, jak metodzie są pozytywistami. Z tego względu stosunek Libelta do nowszej generacji filozofów nie może być traktowany w ten sposób jak starszej. Młodzi porzucili pomysły o narodowości i religijności w filozofji. Chcą tylko filozofji pozytywnej, filozofji rzeczywistości ale „rzeczywistość“ nie w tamtem znaczeniu. Zakres filozofji nie może, według woli, przechodzić po za granice obserwacji zewnętrznej i wewnętrznej — wszystko po za tem, to już nie pozytywna rzeczywistość—tylko na granicach takich znajduje się naukowy przedmiot badania — to tylko jest rzeczywistością.

Tym sposobem rozbiór stosunku Libelta do tych myślicieli, schodzi do rozbioru ich zasad poznania, czyli ich naukowego stanowiska. O tem więc jeszcze słów parę, gdyż właściwie dotychczas już w ten sposób rzecz traktowaliśmy.

(C d. n.)

*) Ochorowicz: tamże str. 79.

**) Struve: Wykład systematyczny logiki I, 271.

***) Ochorowicz w powyższej pracy str. 74. Zobacz też jego studjum psycho-fizjologiczne „Duch i Mózg.“ Warsz. 1872. str. 110.

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Polska w czasie trzech rozbiorów (1772—1799). Studja do historji ducha i obyczaju przez J. I. Kraszewskiego. Tom III. Nakładem J. K. Żupańskiego — Poznań, 1875

W obszernym tym tomie, zamykającym całe dzieło, autor rzucił obraz stosunków w Polsce od roku 1791 — 1799. Tom rozpada się na 11 rozdziałów, mianowicie I. Polska i mocarstwa sąsiednie (1791); II. Sejm i kraj (1791 — 1792); III. Maj i Targowica (1792); IV. Książę Józef i Kościuszko (1792); V. Targowiczanie (1792); Ostatnie chwile Targowicy (1792); VII. Ostatni sejm Rzeczypospolitej (1793); VIII. Kraków i Warszawa (Wielki Tydzień 1794); IX. Kościuszkowskie powstanie (1794); X. Oblężenie Warszawy, Maciejowice i Praga (1794); XI. Na mogiłach (1795 — 1799). O dziele tem, pomówimy wkrótce obszerniej w miejscu właściwem. Całe dzieło złożone z trzech obszernych tomów, kosztuje 33 marek.

Niemiecka.

— Geschichte der Gesellchaft von Dr. J. J. Rossbach, VII Bänd. Würzburg, Stuber — 1875.

Ciekawe to dzieło, obejmujące razem siedm tomów zostało nareszcie ukończono. Ostatni tom jest najbardziej zajmujący dla szerszych kół czytelników, ponieważ autor zajmuje się w nim socjalizmem, komunizmem, i rozwiązaniem tak zwanej kwestji socjalnej. Komunizm rozpoczyna się gruntownem wyjaśnieniem znanej utopji Tomasza Morusa, następnie autor przechodzi do Campanelli i pokrewnych mu duchów a nakoniec do epoki wielkiej rewolucji francuskiej. Socjalizm ekonomiczny jest reprezentowany przez Saint-Simona, Fouriera, Ludwika Blanc, Proudhona i Lassalla a religijny przez Buchez'a i innych aż do Kettelera. Kwestja socjalna, jest, że tak powiemy ekstraktem krytyki obu poprzedzających. Przedstawienie w tem dziele zajmującem jest jasne, a materjał bardzo obfity i dobrze ugrupowany.

Francuska.

— Barnabé, par Ferdinande Fabre — Paris — 1875.

Romans powyższy, który właśnie prasę opuścił, jest tak napisany, że z przyjemnością mogą go czytać ludzie wszechstronnie nawet wykształceni. Są w nim miejsca wspaniałe, sceny komiczne i tragiczne, a męzkość i prawda przebijają z każdej karty.

— Le Brigadier Frederic; par Erckmann — Chatrian, Paris — 1875.

Większej jeszcze wartości jak poprzedni, jest romans niniejszy, napisany przez znaną spółkę literacką, której powieści odnawna obiegają całą Europę. W tym romansie prawie nie ma intrygi, kobiet brak wielki, ale za to jest wszędzie wielkie serce i patrjotyzm głęboki, który czytelnika porusza. Ten brygadjer Fryderyk, to biedny Francuz przez Niemców wypędzony, który nie ma spokojnego miejsca aby głowę złożyć. Z przyjemnością widzimy, że po strasznej katastrofie, jaką Francja przeszła, w jej literaturze zaczyna się objawiać duch zdrowszy aniżeli ten, który przez ośmnaście lat zatruwał jej organizm za drugiego cesarstwa.

— Galsa, par Georges Japy-Lemerre — Paris — 1875.

Kto pragnie wzruszeń, zachwytów idealnych, niech tę powieść przeczyta. Cyganka sierota, kocha artystę sierotę, i po pierwszem wyznaniu miłości umierają oboje, ku wielkiemu niezadowoleniu czytelnika, który wolałby przecież, aby oboje żyli i byli szczęśliwi. Ale co począć, jeśli autor chciał inaczej!

Wiadomości z kraju i ze świata.

— Na czele tego działu przynależy dzisiaj miejsce sprawozdaniu z przebiegu pierwszych dni zebrania, na które w obecnej chwili cały kraj ma zwrócone oczy, a Lwów dumny i radośny, że mieści je w swoich murach, święci je jako narodową uroczystość. Drugi zjazd przyrodników i lekarzy przyszedł do skutku. Szczęśliwy i godny odradzającego się pracą i wiedzą narodu pomysł urządzania perjodycznego takich zjazdów, którego pierwszem urzeczywistnieniem zajął się Kraków w r. 1869, znajduje chlubne i płodne rozwinięcie się swoje w zjeździe dzisiejszym! Niepodobna znaleść silniejszego i dosadniejszego dowodu żywotności tej myśli, nad olbrzymi udział w obecnem zebraniu we Lwowie sił przez nią powołanych, i nad gorące zajęcie się nią wszystkich warstw naszego kraju, uwydatnione w przyjęciu i ugoszczeniu dostojnego zgromadzenia.

Kraj pojął, że doniosłość takich zjazdów nie kończy się na wielkich pożytkach naukowych, wynikłych z narady i porozumienia się tylu badaczy i pracowników na jednem polu; ale że największą wagę i akcent stanowi tu zapoznanie ze sobą, zbratanie i wzmocnienie węzłów serdecznych pomiędzy sztucznie rozdzielonemi częściami narodowego ciała! To też przyjęcie było godne mężów spieszących z taką podwójną misją. Na uiluminowanym i uwieńczonym zie-

lenią dworcu wybór miejscowych sił naukowych i inteligencji oczekiwał na czcigodnych gości. Na oścież otworzyły im się liczne, obywatelskie domy.

20go, w poniedziałek w sali ratuszowej zgromadzenie, po powitaniu przez p. prezydenta Jasińskiego w imieniu reprezentacji miasta Lwowa — ukonstytuowało się, podzieliło na sekcje i ułożyło plan swoich czynności. Następnie licznie zebrani uczeni, uczestnicy i publiczność natłoczona na galerjach, wysłuchali popularnego i wielce zajmującego odczytu dr. Izydora Kopernickiego p. t. „Świat roślinny i zwierzęcy w wyobrażeniach lekarskich i pojęciach naszego ludu“ oraz gruntownej i wielce pouczającej pracy p. c. k. radcy górniczego E. Windakiewicza „Rzut oka na rozwój przemysłu naftowego i na stosunki geologiczne ropy i wosku ziemnego w Galicji.“

Ogłoszenie czasu i miejsca popołudniowych wycieczek, oraz dla posiedzeń sekcyjnych na dzień następny zakończyło to pierwsze zebranie publiczne. Pięknym i charakterystycznym objawem wyborów w zgromadzeniu było, iż każda część dawnej Polski zyskała swego przedstawiciela. Wspólny objad w sali sejmowej dał możność rozpatrzenia się bliższego w całej plejadzie znakomitych i zasłużonych na polu nauki postaci. Świetniały pomiędzy zebranymi pierwszorzędne nazwiska: dr. Majera, prezesa Akademji krakowskiej i zarazem prezesa obecnego zjazdu, dr. Hoyera i Babczyńskiego z Warszawy, prof. Szafarkiewicza, dr. Kaczorowskiego z Poznania, dr. Rollego z Kamieńca Podolskiego itd. itd., oraz całej grupy młodych uczonych z Warszawy, że wymienimy tutaj tylko pp. Juljana Ochorowicza, redaktora „Niwy,“ znanego już chlubnie z prac na polu filozofji i psychologji i Rejchmana, redaktora „Przyrody i przemysłu.“

Największy interes budziła niezawodnie postać Jana Kubarego, Warszawiaka, podróżnika po Australji, przybyłego na zjazd ten z Hamburga. Niżej rozpiszemy się o nim. Nie będziemy szli w ślad za zebranem towarzystwem odwiedzającem muzeum przemysłowe, Gwiazdę, Kopiec. Rozkład i ułatwienie tych wycieczek przynoszą prawdziwy zaszczyt komitetowi zjazdowemu. Wieczorem gościnne salony prezydenta miasta otworzyły się dla przybyłych i dla miejscowych uczestników zjazdu. Dzień następny, 21 lipca, we wtorek, poświęcony był posiedzeniom sekcyjnym, z których sprawa nie do nas należy. Dziennik zjazdu i pisma specjalne szczegółowo zapoznają publiczność z rezultatami tych posiedzeń, my tu wspomnimy tylko o ciekawym wykładzie p. Kubarego, który zapoznał zgromadzenie z fauną i antropologicznemi cechami okolic przez siebie zwiedzonych a mianowicie gruppy wysp Oceanu Wielkiego, noszącej zbiorowe miano „Mikronezji“. Pan Kubary, wysłany jako zbieracz i przyrodoznawca przez znanego z majątku swego, i zamiłowania do nauk przyrodzonych hamburgskiego kupca p. Godefroy, przebył sześć lat z okładem na Karolinach Wielkich, wyspach Pewskich, Marchall'skich itd. i do gruntu poznał ziemię i ludzi tamtejszych. Szczególniej studjom filologiczno-porównawczym rozmaitych djalektów tamtejszych wiele czasu i pracy poświęcił. Przywiezione przezeń okazy zoologiczne, antropologiczne wzorce, fotografje itd. itd. wzbudziły powszechny interes. Podróżnik jest młody bardzo jeszcze — nie przeszedł bowiem trzydziestki. Prace jego, publikowane szczególniej w czasopiśmie muzeum p. Godefroy, zatytułowanem „Journal des Museum“ znalazły wielkie uznanie. Wszystkie są dotąd w języku niemieckim. Mamy nadzieję, że autor oddychający niezmierną miłością dla kraju, gwoli pożytkowi ziomków, pozwoli nam spolszczyć niektóre z powyższych prac. Mamy na to nawet obietnicę jego. Obecnie p. Kubary wprost ze zjazdu, podąża do Hamburga, zkąd z końcem września br. wypłynie znowu na Ocean, aby rozpocząć nowy okres swego życia tak pełnego pracy, przygód i prawdziwego zaparcia się. Celem jego jest bliższe zbadanie jeszcze „Mikronezji“. Wkrótce pojawi się w Hamburgu praca jego filologiczna p. t. „Przyczynek do językoznawstwa Oceanji.“

Dla wypoczynku po pracach uczonych, zgromadzeni goście odbyli po południu tegoż dnia oględziny zakładu Ossolińskich, budowy Akademji technicznej, cerkwi św. Jerzego i ogrodu miejskiego. Wieczorem czekało ich uroczyste przedstawienie w teatrze. Tu miejsce powiedzieć parę słów gorzkiej prawdy. O ile wiemy, komitet przyjął à contre coeur propozycję przyjęcia gości „Obcemi żywiołami“ Fredry. I nie dziw! Niestosowniejszego wyboru niepodobna było zrobić. Sztuka ta na wskróś negacyjna, z postaciami schwytanemi w powietrzu, skalkowana z Rabagosowskiego wzoru, pełna niedołęgów, opatrzona egzemplarzem fikcyjnego komunisty, jak zimny prąd na rozgrzane dusze, szczególniej zakordonowych gości — spadła. Tegoż samego dramaturga każdy inny utwór stokroć byłby odpowiedniejszym. Ale to się już stało. Wrażenia następnego dnia hojnie wynagrodziły i zatarły ten mały niesmak. Wycieczka do Podhorzec pozostanie we wspomnieniu wszystkich, jako akt serdeczności i gościnności, jako najmilsze wspomnienie. Komitet zjazdu dokazał tu cudów porządku i zapobiegliwości. Okoliczne zaś obywatelstwo a na jego czele p. Hubicki, w Ożydowie i hr. Włodzimierz Dzieduszycki wielkiem sercem i hojną ręką uczcili zebranie. Niebo, jakby błogosławiące tej podróży, skropiwszy podczas jazdy koleją rzęsistym deszczem spylone drogi, rozjaśniło się następnie i błyszczało aż do końca najświetniejszą pogodą. W Ożydowie bankiet na otwartem powietrzu, z homeryczną obfitością zastawiony, w malowniczej alei pod żywym dachem gałęzi, przepyszny przedstawiał widok. Uprzejmość, troskliwość drobnostkowa prawie otaczały każdego z uczestników. Na gościńcu tymczasem oczekiwał olbrzymi tabor wozów, ponumerowanych systematycznie a mających powieźć zgromadzenie do Podhorzec.

Wnet pnęły się do nich roje gości, pomiędzy którymi widzieliśmy niemałą ilość płci pięknej. Każdy z gości zaopatrzony był w numer, któremu odpowiedni dźwigał przyszły jego automedon na plecach. Wśród śmiechów, gwaru i wesołych okrzyków towarzystwo ruszyło naprzód ku kolebce Sobieskiego, Olesku. Na tem miejscu urywamy sprawozd: nie nasze odkładając dla braku miejsca, a chęci obszerniejszego rozpisania nad tą prawdziwą wzruszającą uroczystością — ciąg dalszy do następnego numeru.

Literatura sztuka i nauka.

— W pracowni profesora Drake w Berlinie, znajduje się właśnie olbrzymi model statuy Aleksandra Humboldta, która odlana w spiżu będzie na przyszły rok figurowała na wielkiej wystawie w Filadelfji. Statua jest wysoka przeszło trzy metry.

— Zmarły, a w Galicji dobrze znany austryjacki hofrath Sacher — Masoch zostawił swemu synowi, zajmującemu się jak wiadomo literaturą, pamiętniki swoje, obejmujące czas od r. 1809 — 1866.

— Czytamy w „Przegl. lek.“: Dnia 3. lipca. odbyło się w sali wykładowej kliniki lekarskiej zebranie osób mających zamiar zawiązać „Stowarzyszenie do wydawnictwa dzieł lekarskich polskich w Krakowie.“ Obecnych było trzech profesorów Wydziału lekarskiego, (z których jeden przewodniczył zgromadzeniu), kilku docentów i lekarzy praktycznych tutejszych. oraz kilkudziesięciu uczniów Wydziału lek. Po naradach blisko 2 godzinnych, uchwalono projekt ustawy stowarzyszenia, który zamierzamy ogłosić w „Przegl. lek.“, skoro tylko miejsce na to pozwoli. Teraz uczyniono kroki stosowne, ażeby uzyskać potwierdzenie władzy, które nie może ulegać wątpliwości; a tym sposobem piękny pomysł prof. Korczyńskiego, wkrótce wejdzie całkiem w wykonanie.

— Na międzynarodowej wystawie przemysłowej w Filadelfji będzie także oddział Indjan czerwonoskórych, z którego można będzie sobie wyrobić pojęcie o życiu, zwyczajach i obyczajach pierwotnych mieszkańców Ameryki. Mieszkania, narzędzia, broń, pokarm, odzież słowem wszystko będzie wystawione dla zaznajomienia z bytem domowym Czerwonoskórych.

Wynalazki i odkrycia.

— W koresp. paryzkiej „Dz. Pozn.“ z dnia 10. lipca czytamy: „Byliśmy obecni przed tygodniem przy ciekawem doświadczeniu. Widzieliśmy ruszającą się lokomotywę bez pary, bez węgli, bez hałasu, zatrzymującą się lub podwajającą szybkość, jakby na znak maszynisty, a podzieliliśmy podziw licznych inżynierów przypatrujących się temu wynalazkowi jednego z rodaków naszych, p. L. Mękarskiego. Jest to samoruszna maszyna o ściśnionem powietrzu (à l' air comprimé) mająca być użytą do tramwajów lub też do kolei żelaznych miejscowych. Różni się od wszystkich prób dotąd w tym rodzaju robionych w tem, że powietrze ściśnione, w chwili używania rozgrzewa się i miesza z pewną ilością pary wodnej; powiększa się przez to siła przy równym wydatku powietrza, tak, że można dość znaczną przebiedz przestrzeń przy stosunkowo małym cylindrze. I tak z 800 litrami ściśnionego powietrza, maszyna nosząca 25 osób i ważąca 4500 kilogramów, przebiegła więcej niż 3 kilometry na złej drodze, pochyłości 30 metrów; na drodze zaś zwyczajnej przebiegłaby z pewnością podwójną przestrzeń. Żadnego hałasu, żadnego dymu, szybkość 10 do 15 kilometrów na godzinę, mogą — ca natychmiastowo zwolnić się do woli lub zwiększać się do 25 lub 30 kilometrów; oprócz tego oszczędność wynosiłaby trzy ćwiercie wydatków, jakich wymaga używanie koni. Wszyscy inżynierowie serdecznie winszowali panu Mękarskiemu i my mu winszujemy publicznie wynalazku przynoszącego zaszczyt imieniowi polskiemu.“

— Dr. Maurin, lekarz francuski wynalazł bardzo prosty sposób chłodzenia podczas upałów sal i izb szpitalnych. Oto w oknach należy zawiesić płócienne prześcieradła dobrze przedtem w wodzie namoczone. Powstająca z tąd wilgoć chłodzi o 4 do 5 stopni, ulatwiając tem oddechanie. Atmosfera w salach jest wtedy bardzo podobna do tej, która panuje zawsze po burzy. Na ten prosty i wcale nie kosztowny wynalazek, zwracamy uwagę przełożonych naszych szpitalów.

— Niejaki profesor Tuzzi, z Bari w południowych Włoszech, wynalazł środek, za pomocą którego można drzewo tak znakomicie suszyć, że potem jak najlepszy dźwięk wydaje, a ponieważ wraz z suszeniem nabiera ono pozorów wielkiej starości, przeto zrobione zeń skrzypce mogą śmiało uchodzić za antyki, należące dziś w Europie do kruków białych. Skrzypce z tego drzewa, będą kosztowały zaledwie kilka guldenów, a co do wartości będą się mogły równać ze skrzypcami Paganiniego.

— Teodor Huppinger Männedorf nad jeziorem Zurychskiem, wynalazł bardzo ciekawy przyrząd, za pomocą którego może natychmiast stenografować każde słowo wymówione. Przyrząd nie większy jak dłoń męska, przykłada się do ust, a działanie narzędzi do mowy służących, jak języka, ust itd. jest nań takie, że równocześnie odbija się na zwojach papieru każde słowo w znakach stenograficznych, przypominających pismo telegraficzne. Dzisiejsi stenografowie mogą być przeto zastąpieni nowemi, którzy opatrzeni w takie przyrządy, potrzebują tylko powtarzać szybko każde słowo mówiącego, a natychmiast zostanie ono bez błędu spisane.

Statystyka.

— Najszybciej pędzi teraz kolej amerykańska między Jersey a Trenton. Na godzinę robi tam najmniej 95 kilometrów.

— Najnowsze badania statystyczne wykazują dokładną liczbę żydów, zamieszkałych w różnych krajach Europy. I tak: w Austrji na 36 miljonów ludności znajduje się 1,130,000, w Królestwie Polskiem i zachodniej części Moskwy 2 mil, w Niemczech na 60 mil. ludności 600.000; w Turcji europ. na 16 mil. ludności 100.000, w Szwecji na 4 mil. 1.000, w Niderlandach na $3^1/_2$ mil. ludn. 70.000, w Belgji na 5 mil. 1.500, w Szwajcarji na $2^1/_2$ mil. ludności 4.500, we Włoszech na 22 mil. 50 000, we Francji na 36 mil. 100.000, wreszcie w Anglji na 30 mil. ludności 70.000 żydów; Norwegja, Hiszpanja i Portugalja szczycą się tem, że ich prawie nie mają. Razem zatem w Europie około $4^1/_2$ mil. potomków Abrahamowych.

Nekrologja.

— Karol Boromeusz Hofmann historyk i publicysta znany szczególniej z wybornej pracy swojej „Historja reform w Polsce“, zmarł dnia 6. b. m. w Blasevitz pod Dreznem. Pogrzeb jego odbył się dnia 9. bm. przy licznem zgromadzeniu ziomków i obcych. Nad grobem w rzewnej i pięknej przemowie scharakteryzował J. I. Kraszewski prosty a tak zasłużony żywot zmarłego.

ROZMAITOŚCI.

— Podróżnik niemiecki, Roderyk Nellenburg podaje w formie nowelli opowiadanie przygody na stepach amerykańskich. Dla żywego interesu i charakterystycznych szczegółów nowellę tę tutaj podajemy.—„Póki życia nie zapomnę czerwca i lipca 1867 — rzekł do nas stary pjonier amerykański Denis. A siedzieliśmy właśnie na około ogniska obozowego paląc fajki. — Po nad nami na głębokim błękicie nieba błyszczało tysiące złotych gwiazd; świeży wietrzyk muskał falistą powierzchnię amerykańskich stepów, pogrążonych w głębokiem milczeniu. Zdala dolatywało tylko od czasu do czasu w melancholijnym dysonansie wycie coyota — psa stepowego (canis latrans). Byliśmy właśnie, w dziesięciu, z wozami i końmi, w drodze z Hayesville w zachodniem Kansas do Taos w Nowym Meksyku, wysłani jako inżynierowie. Towarzystwo nasze składało się z Denisa, wspomnianego już wyżej starego strzelca, i dwóch Kanadyjczyków półkrwi, których zamówiliśmy za przewodników przez Llano Estacado. — „I cóż się wam tak osobliwego trafiło przeszłego lata, Denisie?“ — spytał Lamberg, najmłodszy z naszej kompanji, przed kilku ledwo miesiącami z Europy przybyły. Co dziwnego — mnie? młody panie — powtórzył mrukowaty staruch i wpatrzył się przez chwilę swemi ciemnemi surowemi oczyma w pytającego. — A któż mówi, że właśnie mnie coś dziwnego się zdarzyło. Sądzę, że nikt z zamieszkujących wtedy zachód, przeszłego lata nie zapomni. Ale rozumiem, pan jesteś frycem jeszcze w tym kraju! Siedziałeś wtedy na starym lądzie, trzymając się matczynego fartucha! Ach cuerpo!... ten młodzik zna Indjan tylko ze słychu. — „Indjanie? A więc przygoda z Indjanami“ — zawołaliśmy wszyscy żywo, przysuwając się do starego... „— Słuchamy, słuchamy opowiadaj łaskawie. A ty, Lamberg, przysuń no dzbanek z brandy (wódka) do Denisa“. Stary pociągnął tęgi łyk, zapalił cygaro, i oparłszy się na lewem ramieniu, ażeby mu było wygodnie, rzekł: — O tak, pewien jestem, że nikt nie zapomni, jaki djabeł wlazł przeszłego lata w Czerwone Skóry (Indjan) i jak te cuchnące zwierzęta, złamawszy nagle pokój, mord i pożogę poczęły roznosić, nie dawszy pierwej najmniejszego znaku, że nam chcą nastąpić na pięty! Zdawało się, że strzała wojenna przez jedną noc wygrzebaną i obesłaną została po wszystkich plemionach, tak nagle i zewsząd rozpoczęto wojenne kroki. No, mieliśmy istotnie djabelskich parę tygodni, ale, na piekło, za każdą oskalpowaną (odartą z włosów) głowę stokrotnie nam musieli zapłacić; możecie wyliczyć z karbów na mojej fuzji, ilem ich wtedy posłał polować na tamten świat! Zdaje mi się, żem wam już opowiadał o moim powrocie na wiosnę r. 1867 z wyprawy do gór Skalistych. Otóż tam zeszedłem się z dwoma łowcami bobrów i wszedłszy z nimi w spółkę, zawiodłem się w takie doskonałe a mnie tylko znane miejscowości, iż powróciwszy na wiosnę do Denwers, gdzie moja Kasia z malcami mieszkała,—przywieźliśmy takie mnóstwo „Plews'ów“ (skór bobrowych) że trzy muły nasze uginały się pod niemi. Wielka była uciecha w domu z mojego powrotu, myśleli bowiem, żem już zginął, przez siedemnaście miesięcy nie dostawszy o mnie żadnej wieści. Odpocząłem wtedy sobie i pieściłem się troszkę, bo zima tam w górach wściekła a mnie już dobrze łamało w starych gnatach. Jakoś w połowie lata umiera jeden z moich sąsiadów, kowal niemiecki, który przedtem kilka lat żył na zachodzie. W kilka dni po jego śmierci przychodzi do mnie wdowa po nim i prosi, żebym kupił jego broń, długą, lekką dubeltówkę, z jedną lufą na kulę, drugą na śrót, ot tego bliźniaczka, co tam leży. Póki życia nie widziałem tak pięknej broni; dotąd bowiem zawsze używałem ciężkich „riflów“ (karabinów) lub angielskich dubeltówek olbrzymich, o grubym kalibrze i gładkich lufach. To też rozśmiałem się w nos kobiecie i rzekłem: „Poczciwa babciu, taka figlarna ptaszniczka nie na moje twarde łapy!... Co mi z tego!“ Ale ta prosi i prosi, ażebym od niej kupił, że mąż jej był nielada strzelcem i cudownie z tej fuzji strzelał i niejednego łosia z niej położył, i że mi ją odda tanio, z prawem wypróbowania przez dni czternaście. No, cóż było robić? Piękne lufy i zamek wabiły mnie a tu był właśnie czas rui jeleniej i coś mnie już oddawna ciągnęło w stepy. Rzekłem więc: „Ha to przybijmy babciu, popróbuję ja tej pukawki. Dziś jeszcze wylewam kule i tegoż samego wieczora ruszam w stepy“...— Ależ Indjanie! stary gaduło — przerwał mu jeden z nas niecierpliwie. — No! no, powoli, i ci się zaraz znajdą — odrzekł Denis, nie dając się bynajmniej zbić z tropu. — Już to oni mają zwyczaj się zjawiać, kiedy ich się najmniej spodziewa. Na czem to skończyłem?... Aha!... Otóż dwa dni już polowałem i miałem już kilka skór jelenich na szkapie, bo pukawka spisywała się nie gorzej od najtęższego kentuckijskiego karabina. Drugiego wieczora, puściłem mego wronego w pętach na małą polankę a sam wszedłem na wysokie drzewo dla rozpatrzenia się, czy gdzie nie zobaczę zwierzyny, która mi w tej części stepów zupełnie znikła z przed oczu. Kiedy tak siedzę pomiędzy gałęziami i wytrzeszczam oczy przed siebie daleko i szeroko, nagle widzę, bynajmniej nie zwierzynę, ale Indjanina, który na tysiąc kroków może odemnie, za małym pagórkiem pędzi, galopując tuż po śladach mojego wronego. Naraz, pojawia się jeszcze dwóch takich ciemnych zuchów i jeden z nich zeskakuje z konia i szuka czegoś po ziemi. Aha!... teraz już byłem w domu. Niewątpliwie była to przybitka, od strzału śrótem, wymierzonego przezemnie przed godziną do koguta stepowego, któregom chybił. Hultaj Indjanin ostrowidzo-oki musiał spostrzedz tę przybitkę. Halloh! — pomyślałem sobie — trzymajmy się teraz tęgo! Te cuchnące bydlaki nie mają nic dobrego na myśli. Zsuwam się więc jak wiewiórka z drzewa, zdejmuję pęta z mego wronego, wskakuję na siodło w mgnieniu oka—i w nogi!... Nie ujechałem jeszcze mili (angielskiej) aż tu słyszę za sobą „huhuhuhuhp!“ jednego z Indjan i widzę łotra pędzącego za mną. Podzielili się zbóje, aby mnie otoczyć, jak wilki postrzelonego bizona. Życie moje było w nogach konia! Ach! cuerpo!... jakżem rozpuścił wronego! Ale Czerwonoskóry coraz bliżej mnie doganiał, krzycząc jak opętany, a w niewielkiej odległości za nim spieszyli się dwaj pozostali. Za chwilę świsnęła mi strzała koło uszu, wbijam wronemu ostrogi w bok, ale dzielne zwierzę widocznie miało nadto ciężaru ze mnie i czterech skór jelenich. Już więc zabierałem się rzucić skóry, gdy naraz gwizdnęły koło mnie ziarnka śrótu, a kilka z nich ugodziło mnie w plecy, nim jeszcze strzał usłyszałem. No!... w takim razie nie było się co namyślać. Staję więc, zeskakuję z siodła, ustawiam się za zdyszaną szkapą, fuzja na ramię i w muszkę oko! Pac!... pakuję kulę,—którąm na śrót puścił,—najbliższemu w cielsko, tak że go odrazu ze szkapy zdjęło, i paf, rypię do drugiego, jak mi tylko na strzał nadjechał. Wali się hultaj z konia na prawo, czepia się siodła i pociąga je tak mocno, że aż koń się przewrócił. Nabijam co tchu obie lufy, nakładam pistony i czekam na trzeciego. Ten, jak tylko na skręcie z za pagórka się pokazał i konia jednego z kolegów swoich pędzącego luzem a drugiego grzebiącego się na ziemi zobaczył, zatrzymuje swego w pełnym biegu, tak że aż dęba stanął. Było do niego tęgich 180 kroków, powiadam wam, a jednak mustang, (koń stepowy) jego nie doszedł już na drugi strzał, ale przewalił się odrazu z jeźdzcem. Co ja widząc, skaczę błyskawicą na siodło, i pędzę i pędzę, ale już mnie żaden z nich nie ścigał. Widocznie mieli dosyć! Późno w noc już wpadłem do Ben Learen, ale wrony mój stracił już nazawsze nogi! Ludzie nie chcieli mi wierzyć, gdym im opowiadał moją przygodę i mieli to za bajki. Ja byłem tak zmęczony, żem się nawet nie chciał sprzeczać. Aż tu rano przylatują dwaj ludzie z Kit Nixons Fortu, podobnież przez Indjan napadnięci i opowiadają toż samo a po nich nadchodzi wóz pocztowy, dążący do Denvers, z ośmioma strzelcami na wierzchu; z obawy Indjan. Dwa dni temu z tamtej strony rzeki Creek napadły Czerwone Skóry na pocztę, wyskoczywszy z zasadzki w trawie; pełno strzał sterczało jeszcze w ścianach wozu. Szczęście, że wielu podróżnych miało z sobą strzelby i karabiny i odparli gołych zbójów. Koń jeden już był zabity, dobrze że konduktor z narażeniem życia w czas jeszcze go odciął. Ledwo uciekli. Ha! myślę sobie, kiedy tak rzeczy stoją, to czas do żony i dzieci, do Denvers, wracać! Rzekłem tedy do konduktora, że chcę wsiąść na wierzch dyliżansu i wzmocnić załogę; toż samo zaproponował Bill Somers z Denversu. Konduktor przystał chętnie, nigdy bowiem nie można było mieć dosyć rąk przeciw tym czerwonym szatanom. Wsiedliśmy więc razem z Billem. Ledwośmy ujechali z dziesięć mil od Leaven natykamy się na przewrócony i zrabowany wóz, przy którym leżały trzy trupy, nadziane strzałami i oskalpowane a pomiędzy niemi młoda kobieta — o Boże, w jak okropnym stanie! Dreszcz nas przeszedł; zgrzytnęliśmy zębami! Pod wieczór, zbliżyliśmy się właśnie do wyżyn, po za któremi Blacktailriver-Bottom's leży i jechaliśmy łagodnie pod górę, gdy naraz zagrzmiało coś jak tentent koni i z po za niewielkiego pagórka wyskoczyło niespodziewanie trzydziestu „Indusiów“, Indusiów Colorado i z okrzykiem wojennym rzuciło się, aby okrążyć wóz pocztowy. Ale my mielismy się na baczności. Ja siedziałem na przedzie, Bil Somers za mną na wierzchu dyliżansu; ośmiu strzelców mieli każdy dobry sztucer Henry, z piętnastu nabojami w kolbie. — Dzieci — rzekłem — nie strzelajcie pierwej, aż zajrzycie tym bydlakom w białka oczu, i palcie przedewszystkiem w tych co na czele. — „All right, gov'nor! (Dobrze, dowódzco!) odrzekli zuchy i siedzą chłodni, jak z lodu. W tej chwili zaświstały strzały koło nas, nad nami i paru było nawet trafionych. Ale w odpowiedź na to zagrzmiało potężnie z wnętrza dyliżansu i z naszego siedzenia, i ja pierwszemi zaraz dwoma strzałami sprzątnąłem dwóch najbliższych czerwonaczków z siodła. Brzydki to jednak był kwadrans czasu, powiadam wam, dzieci, zanim odpędziliśmy tych wściekłych dzikusów. Dwa konie nam ubito, trzech trupów mieliśmy: dwóch strzelców i jednego podróżnego,— a każdy z nas był prawie ranny. Ale z Indjan szesnastu leżało sztywnych i zimnych w trawie, a reszta, umykając uniosła ze sobą jeszcze paru ciężko rannych. Bez dalszej już przeszkody dociągnęła poczta na drugi wieczór do Denversu, gdzie moja staruszka przyjęła mnie łzami radości, i widząc, że oprócz rany od strzały, która mi na miesiąc ramię zesztywniła, zresztą byłem zdrów i nienaruszony. A fuzję sąsiada kupiłem od poczciwej wdowy na pamiątkę tej ciężkiej godziny, chociaż i tak jej nigdy nie zapomnę. Nie jeden z Indjan gryzł z tej lufy ołów,—bośmy im oddali ich wizytę, i hojnie, na szatana!

— Choroby umysłowe, pisze korespondent paryski „Gaz. Warsz.“, zostają w prostym stosunku z cywilizacją narodu. Kto nie posiada rozumu, ten go stracić nie może. Pomiędzy ludźmi nieucywilizowanymi jest najmniej chorych umysłowo. Doktor Maret, profesor paryskiej szkoły medycznej, traktujący choroby umysłowe, wykazał, że więcej obłąkanych znajduje się w zachodniej, aniżeli we wschodniej Europie. Artyści dostarczają największego kontyngensu warjatów. U kogo ciągle pracuje wyobraźnia, ten bliższy jest warjacji, aniżeli człowiek powodujący się zimnym rozumem. Statystyka medyczna dostarcza nader ciekawych szczegółów o stanie umysłowym ludzi ze względu na ich zatrudnienie. Obliczono, że na 10.000 artystów bywa 96 obłąkanych, t. j. prawie 1 proc.; na 10.000 prawników i polityków zdarza się 84 warjatów. Po tych dwóch stanach, które wydają największą liczbę cierpiących na umyśle, następują teologowie i nauczyciele. Z pierwszych na 10.000 dostaje obłąkania 39, z drugich 35. Najmniej bywa obłąkanych pomiędzy rolnikami i przemysłowcami, zajęcie tych ludzi bowiem różnorodne i urozmaicone. Człowiek zajmujący się wyłącznie jednym przedmiotem, staje się maniakiem, przychodzi do pewnego stopnia obłąkania z natury jednostronności. Obliczono, że w całej Francji rocznie przy pada jeden warjat na 1184 mieszkańców. W roku zeszłym popadło we Francji w obłąkanie 29.340 osób, czyli 2570 na miesiąc. W miesiącu maju zaś roku bieżącego wyprawiono do zakładów obłąkanych 2600 osób.

Treść Nr. 30.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).